Nr. 44. 30 h. — 25 fen.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków, dnia 2 kwietnia 1910.

Wychodzi w każdą sobotę.

Z treści: **Inserat T. S. 8517.**



Trwało kilka minut zaledwie, a Szerlok Holmes był już powrozami przywiązany do pnia drzewa.

Nr. 44. Kraków, dnia 2 kwietnia 1910. Nr. 44

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

INSERAT T. S. 8517.

ROZDZIAŁ I.

Nieprzyjęty.

Tajny radca Sondermann siedział w swej pracowni przy biurku, zarzuconem książkami i papierami.

W pokoju znajdowały się sprzęty dębowe, w starym stylu flamandzkim. Nad oknami zwisały pojedyncze całkiem firanki. Luksusowych mebli nie było zupełnie, jedynie tylko ciężkie stołki, wyścielone skórą.

Tajny radca, starzec szpakowaty, o olbrzymiej postawie, siedział przy biurku, obrócony do niego bokiem. Sparłszy łokcie na poręczy krzesła, założył ręce na piersiach i słuchał uważnie przystojnego, młodego człowieka, który stał raczej, niż siedział na swym stołku.

Był widocznie młody mężczyzna bardzo zmieszany, bo co chwilę urywał poszczególne zdania i żadnego z nich prawie nie kończył.

Radca słuchał pobłażliwie tej jąkaniny, ani młodzieńcowi nie przeszkadzając, ani też mu nie pomagając słowem.

Młody człowiek, spocony jak ruda mysz, tak zaplątał się w treści, że nie mógł już dalej ruszyć, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

Nastąpiła chwilowa przerwa.

Chłopiec poprawił sobie nerwowo kołnierzyk, jakby stał się naraz ciaśniejszy i uciskał mu szyję, z czoła spływał mu kroplisty pot.

Teraz dopiero postanowił radca ulitować się nad zakłopotanym młodzieńcem i pomódz mu w trudnej dla niego sytuacyi:

— Mówiłeś pan, jak z nut — rzekł wesoło.— Tyle się pan tu nagadał, że nawet wszystkiego nie pamiętam.

O ile mogłem zrozumieć, sens pańskiego przemówienia jest taki, że chcesz pan ożenić się z moją córką.

Nie powiedział pan jednak z którą! Czy może z Elzą?

Młody mężczyzna skinął potakująco głową.

— Naturalnie! Spodziewałem się tego. Najmłodsza i najzgrabniejsza. Ale omówmy sprawę poważnie. O swojem pochodzeniu i stosunkach rodzinnych nie potrzebuje mi pan mówić. Pana ojca znają wszędzie. Któżby nie znał Steinerta, wielkiego przemysłowca? Natomiast bardzo mało wiem o panu...

Patrzył wyczekująco na swoje vis à vis.

— Ja mam — zaczął, jąkając się Jan Steinert.

— Co pan ma, o tem wiem przypadkowo. To nie odgrywa jednak żadnej roli — przerwał mu stary.

— Ja jestem... — odparł wystawiony na męki Tantala młody człowiek, rzucając rozpaczliwym wzrokiem na wszystkie strony, jakby szukał skąd ratunku i pomocy.

— Pan jest synem swego ojca, więcej nic, panie Steinert — dokończył stary — i to jest skała, o którą muszą się rozbić wszelkie pańskie nadzieje. Moją córkę mogę dać tylko takiemu człowiekowi, który sam stworzył sobie utrzymanie i potrafi zapracować na siebie i przyszłą rodzinę.

— Przepraszam, panie radco, ale...

Radca nie chciał nawet słuchać.

— Wiem, co pan chce powiedzieć. Pan wcześniej czy później wejdziesz jako akcyonaryusz

i współwłaściciel do fabryki swego ojca, tak jak starsi bracia.

Na to panu jednak coś oświadczę: po pierwsze jesteś pan najmłodszym z braci, po drugie nie będziesz w fabryce tem, czem są pańscy starsi bracia, którzy pracują tam jako inżynierowie; pan dasz tylko swoje pieniądze i będziesz figurował, jak statysta. A to jest wielkie nic... zero... kochany młodzieńcze...

To niema znaczenia ani dla mnie, ani dla mojej córki, która musi mieć męża, któregoby poważała dla jego stanowiska, a nie lekceważyła. Więc, mój młody przyjacielu, postaraj się zdobyć jakąś pozycyę w świecie. Przyjdź do mnie jako skończony człowiek, który jest w stanie wyżywić rodzinę, a wtedy mogę ci nawet w jednym dniu wyprawić wesele.

To mówiąc, wstał i podał młodemu człowiekowi rękę na pożegnanie, którą tenże drżąc ze wzruszenia, uścisnął.

— Jedyna rada, jaką panu mogę dać, jest ta właśnie — dodał radca, odprowadzając całkiem już strapionego aż do samych drzwi. — Jeśli będziesz pan potrzebował rady przyjaciela, to znajdziesz ją pan zawsze u mnie.

Nie tracę nadziei, że zobaczę pana w niedalekiej przyszłości i będę mógł go powitać, jako mego zięcia. Bardzoby mnie to nawet cieszyło, gdyż nie mam panu ostatecznie nic do zarzucenia.

Bądź pan dobrej myśli, panie Steinert i nie trać fantazyi. Wszystko będzie dobrze.

Całkiem zniechęcony udał się Jan Steinert do ogrodu zoologicznego, gdzie się miał spotkać ze swą najdroższą Elzą, aby jej zdać sprawozdanie z odpowiedzi ojca.

Elza Sondermann znała zasady rodzica i spodziewała się z góry odpowiedzi, jaką otrzyma jej narzeczony, pomimo, że stary Steinert, radca komercyonalny, znany był jako bogaty człowiek. Wynik oświadczyn widziała jak na dłoni i zupełnie nie zdziwiła się, spostrzegłszy narzeczonego, zbliżającego się w smutnej zadumie do miejsca schadzki, gdzie go już oczekiwała od przeszło pół godziny.

Uśmiechnięta pospieszyła naprzeciw niego i serdecznie go uścisnęła. Pytanie o wynik było zupełnie zbyteczne, gdy tylko popatrzyła na jego bladą, zbolałą twarz.

Pomimo tego jednak zapytała: — Cóż?

Usiadł na ławce tak gwałtownie, że aż zatrzeszczała.

— Odpalił mnie ojciec — syknął przez zęby.

Pogłaskała delikatnie jego rękę. Smutek osiadł na jej ładnej twarzyczce. Usta drżały, oczy napełniały się zwolna łzami.

— Tylko teraz nie płakać — rzekła sama do siebie, usiłując panować nad sobą. — Należy być silną, gdy inni rozpaczają.

Prędko otarła łzy.

— Możemy czekać, Jasiu! — odezwała się, patrząc mu w oczy.

— Na co? — odburknął, szarpiąc nerwowo małe wąsy.

— No — dopóki — dopóki nie będziesz miał udziału w fabryce! — wypowiedziała Elza.

Uśmiechnął się zjadliwie.

— Właśnie – odparł — twemu ojcu nie wystarcza, że jestem synem mojego ojca, jak się pochlebnie wyraził. Mam sobie zapewnić sam stałe stanowisko, powiedział. Czy mam iść jako robotnik do fabryki? Jak mam pracować na siebie, tego nie rozumiem!

Elza przytakiwała poważnie głową.

— Rozumiem zupełnie twoje wzburzenie i uznaję, że jest słuszne — odpowiedziała po namyśle— mój ojciec jest fanatykiem pracy!

— Ach, co to za twarda głowa! Zarzuty, które podnosi, są wprost bez sensu!

— Janku, nie obrażaj mego ojca!

Objęła go rękami i położyła swą główkę na jego piersiach.

— Bądź cicho, Jasiu, jeszcze niema nic straconego. Zrób to, czego żąda. Pokaż mu, że to jest dla ciebie zabawką wybić się na stanowisko własnemi siłami, tak jak to zrobił mój i twój ojciec. Zmuś go do szacunku dla siebie przez pracę i pilność. To ci ciężko nie przyjdzie przy dobrych chęciach a twych zdolnościach.

On pocałował ją delikatnie w twarz.

— Moja najukochańsza! — szeptał, przyciskając do siebie jej drobną i delikatną kibić. Patrzył z rozkoszą w jej jasne włosy, błyszczące w promieniach słonecznych.

Nie jest to tak łatwe, jak ci się wydaje — rzekł po głębokim namyśle. — Słuchaj, nie przygotowywałem się do żadnego praktycznego zawodu, ani nie posiadam odpowiednich zdolności, jak tobie się zdaje, przy pomocy których mógłbym zdobyć właściwe dla mnie stanowisko.

— Obracaj w takim razie swoim kapitałem, który posiadasz. Puść go w obieg.

— To byłoby nie pomyśli twemu ojcu — odrzekł, bawiąc się jej delikatnemi rączkami.

— Dlaczego nie? Jemu chodzi tylko o to, aby widział, że umiesz pracować. Wierz mi, że pracy będziesz miał przy tem podostatkiem.

— Dobrze! Masz słusznie. Spróbuję. Sądzę, że niedługo zbudujemy sobie gniazdko. A później, czarodziejko ma! Będzie, który człowiek szczęśliwszy od nas obojga? .

— Mnie się zdaje, że nie! — brzmiała rozkoszna odpowiedź.

Namiętny całus zamknął jej usta.

Długo jeszcze tak razem siedzieli, snując najrozmaitsze plany i budując zamki na lodzie i dopiero zachodzące słońce przypomniało im, że nadszedł czas rozłąki.

ROZDZIAŁ II.

T. S. 8517.

Bardzo wczas jeszcze było, kiedy Jan Steinert przebudził się w swoim kawalerskim pokoju.

Przy ubieraniu myślał ciągle o wczorajszej rozmowie z ojcem Elzy. Postanowiwszy sobie stosownie do jego życzenia stworzyć samoistny byt, myślał ciągle nad tem, w jakiby sposób mógł to uskutecznić, jak najprędzej.

W sąsiednim pokoju nakryła do śniadania stara służąca, zdawna przebywająca w jego rodzinie. Na czystej serwecie stołowej stała kipiąca maszynka z kawą, z której sam sobie nalewał. Obok leżały najświeższe gazety i pisma.

Nagle wzrok jego przykuło następujące ogłoszenie:

> **Świetna przyszłość!**
>
> przedstawia się młodemu człowiekowi przez współudział w bardzo korzystnem i pewnem przedsiębiorstwie. Nie potrzeba żadnego przygotowania fachowego. Wymagane dziesięć tysięcy marek. Oferty nadsyłać należy do redakcyi dziennika pod:
>
> **T. S. 8517.**

Jeszcze raz przeczytał anons, następnie wziął nożyczki, wyciął ogłoszenie i schował je do portfelu.

To było coś dla niego! Zaraz po śniadaniu napisze pod wskazany adres. Tylko ojciec nie śmie o tem wiedzieć. Cóż z tego, że poczyni wstępne kroki poza jego plecami!

Gdy się powiedzie, to dopiero ojciec będzie się cieszył swym synem! Na razie musi milczeć. Ojciec jest pesymistą, który nie dowierza nawet swemu przyjacielowi w interesie. Gdyby mu o tem powiedział, zarazby udaremnił jego zamiary. Może zaś łatwo na własną rękę przystąpić do owego korzystnego przedsiębiorstwa, gdyż ma potrzebny kapitał do dyspozycyi. Chwilowo nie piśnie do nikogo ani słówkiem. Jako człowiek na stanowisku będzie jeszcze raz mógł oświadczyć się radcy Sondermannowi o rękę jego córki Elzy i z pewnością zostanie przyjęty.

Takie myśli krążyły w jego głowie, gdy pisał zgłoszenie na anons. Zadowolony, przeczytał ukończony list jeszcze raz, zakopertował i zaniósł własnoręcznie na pocztę.

— Kości rzucone! — rzekł, wrzuciwszy list do skrzynki pocztowej. Schowawszy ręce do kieszeni paltota, wracał wesoły do domu rodziców, gdzie zwykle jadał obiady.

Codziennie wyczekiwał na odpowiedź.

Za każdym dzwonkiem wybiegał do przedpokoju, lecz ciągle doznawał rozczarowania, gdyż nie był to jeszcze tak upragniony i oczekiwany przez niego spólnik. Chęć czynu i nadzieja, że wkrótce już połączy się ze swą najdroższą, napawała go niezmierną rozkoszą.

Jednego wieczora, gdy pisał właśnie do najdroższej Elzy o swojej niezmiennej miłości, silnie zadzwoniono. Tyle razy go dzwonek zwiódł, że tym razem nie poruszył się zupełnie, tylko pisał dalej.

Usłyszał po niejakim czasie posuwisty krok starej Anny i rozmowę z jakimś mężczyzną, który się o niego wypytywał.

Prędko schował list do szkatułki, którą następnie zamknął. Poprawiwszy ubranie, wyszedł naprzeciw obcego. Skinieniem ręki zaprosił go do pokoju. Obcy, był mężczyzną średniego wzrostu, brunetem, o stojących włosach i przystrzyżonych wąsach. Nad jednem okiem, które błyszczały jak żarzące węgle, miał plastrem zakrytą ranę lub bliznę. Jego cera była żółta i niezdrowa. Kiedy przedstawiał się, pokazał swe zepsute nieczyszczone zęby z pod nabrzmiałych warg. Na rękach miał pieścienie z fałszywymi kamieniami.

Cały jego wygląd robił wrażenie nieumiejętnej elegancyi. Człowiek ten wyglądał bardzo podejrzanie; każdy byłby to zauważył, tylko Jan Steinert nie poznał tego, z powodu swego dziecinnego jeszcze usposobienia i braku doświadczenia.

Z wyszukaną grzecznością prosił Steinert gościa, aby usiadł, co przybyły zaraz uskutecznił, wyciągając przed siebie nogi, na których miał niezbyt zgrabne kamaszki.

— Mógłbym się dowiedzieć o celu odwiedzin? — spytał grzecznie Jan, podając gościowi pudełko z cygarami, z którego ten bez żadnego cestowania się zaraz wziął jedno.

Zapaliwszy cygaro wyjął je z ust i powoli rozglądając się na wszystkie strony trwożliwie, zaczął mówić:

— Idzie tu o anons, jaki był w gazecie, a na który otrzymałem od pana zgłoszenie, obok wielu innych.

Jan, domyślił się odrazu celu przybycia gościa, dlatego też nie zdziwiła go odpowiedź. Czekał w naprężeniu na to, co mu przybyły powie, o całem przedsiębiorstwie i jaki to ma być interes.

— Sprawa przedstawia się następująco—zaczął gość — nowo zbudowana chemiczna fabryka znajduje się w kłopotach finansowych, które można usunąć małym kapitałem 10.000 marek. Właściciel ma zamiar, pewien przez niego wynaleziony i patentowany preparat chemiczny wyrabiać w swojej fabryce. O tem powiem więcej i obszerniej później, gdy nasze układy dojdą do skutku.

— Pan jest pośrednikiem? — przerwał mu Steinert.

Obcy potwierdził i mówił dalej:

— Na tym preparacie można zarobić miliony. A ten, kto pomoże wynalazcy, projekt ów uskutecznić, będzie miał naturalnie udział w zysku, gdyż umożliwi mu rozwinięcie fabryki.

Mowca zrobił małą przerwę i badał, jakie wrażenie zrobiły jego słowa.

Jan słuchał całej mowy w naprężeniu, a myślą widział się już w posiadaniu milionów i uroczej Elzy.

Po długich debatach przystał Steinert na warunki i oświadczył gotowość złożenia żądanych 10.000 marek pod warunkiem, że w zamian za to będzie współwłaścicielem firmy i będzie miał udział w zyskach. Zażądał jednak, że przedtem musi widzieć tą fabrykę, która znajdować się miała na przedmieściu Berlina.

Pan Grünberg, jak się przedstawił pośrednik, miał poczynić odpowiednie kroki i zaprowadzić go do tej fabryki...

* * *

Pewnego wieczora zjawił się pośrednik ponownie, właśnie w chwili kiedy Jan miał zamiar udać się do swoich rodziców na kolacyę.

Był już na schodach, kiedy spotkał się z Grünbergiem.

— Ależ panie Grünberg — zawołał zdziwiony Jan, wyciągając złoty zegarek i patrząc na godzinę. — O tak późnej godzinie nie pójdziemy za miasto. Przecież już jest siódma. Zanim tam przyjdziemy, będzie już ciemno.

— Teraz jest właśnie najodpowiedniejsza pora. Po zamknięciu fabryki, będzie mógł właściciel omówić spokojnie wszelkie warunki. Interes jest dobry, jak się pan sam przekona. Jest tylko taka rzecz — zatrzymał się chwilę, lecz zaraz mówił dalej — panu mogę ostatecznie powiedzieć: fabrykant potrzebuje gwałtownie pieniędzy. O ile nie będzie miał w krótkim czasie odpowiedniej kwoty, popadnie w konkurs. Dlatego dziś wieczór koniecznie musi dobić targu. Pan jeszcze dzisiaj wstąpiłby do firmy i wszystko byłoby w porządku? Czy podjął pan pieniądze z banku?

Obserwował z ukosa młodzieńca i na jego wargach nabrzmiałych, zaigrał złośliwy uśmiech, kiedy Jan pokazał na piersi i rzekł:

— Mam przy sobie w portfelu!

— Sprawa pobiegnie szybko swoim torem; dużo korzysta, kto odrazu działa, panie Steinert, a kto ma szczęście, ten łatwo się ożeni!

— W takim razie chodźmy — rzekł po krótkim namyśle Jan — sądzę, że za kilka godzin będziemy z powrotem.

— Możemy być, jeśli tylko będzie pan chciał — odparł obcy i znowu zabłysnął na jego twarzy zbrodniczy uśmiech.

Przejechali elektrycznym tramwajem cały Berlin. Na ożywionych ulicach roiło się od ludzi. Później coraz bardziej robiło się pusto, wystawy były coraz rzadsze. Na ostatniej stacyi wysiedli. Okolica, którą teraz szli, była całkiem odludna.

Po krótkiem błądzeniu zboczył Grünberg w stronę gęstego lasu jodłowego.

— Czy musimy iść tędy? — zapytał Jan, z widocznym niepokojem.

— Tak! Czy pan się obawia? — odezwał się drwiąco.

Jan Steinert nie chciał pozwolić, aby go posądzano o tchórzostwo, pierwszy przyspieszył kroku i wszedł do lasu.

Jego przewodnik trzymał się z niewytłómaczonego powodu ciągle z tyłu.

— Chodźże pan! A może to pan się boi? — spytał Steinert, odwracając się do niego.

Zobaczył parę krwiożerczych, pałających dziwnym blaskiem oczu. Przerażony cofnął się w tył.

— Wróćmy się stąd! — zawołał, drżąc na całem ciele — nie mam ochoty iść dalej!

— To się nie stanie! — była odpowiedź.

Równocześnie ręką chwycił Steinerta pod gardło.

Po lesie rozległ się straszliwy krzyk, później zapanowała znowu cisza.

Od tego dnia nie było śladu z Jana Steinerta. Znikł, jakby kamień wpadł w wodę.

ROZDZIAŁ III.

Śpiewające dziewczęta.

Najbardziej ożywioną ulicą Berlina szło dwu mężczyzn, rozmawiających ze sobą. Samo ich ubranie i wogóle zewnętrzny wygląd zdradzał Anglików, co potwierdzała ich rozmowa, prowadzona w języku angielskim.

Z wielkiego domu czynszowego, obok którego przechodzili właśnie, dochodził ich głos śpiewających dziewcząt. Przystanęli, nadsłuchując przez otwartą na oścież bramę i spoglądając ku podwórzowi, gdzie rozlegały się właśnie śpiewy.

Niedorostki zebrani w obszernej sieni przedrzeźniali rozśpiewane dziewczęta i krzyczeli, jak mogli najgłośniej, chcąc je zagłuszyć.

Chłopcy wykrzykiwali jakąś ludową piosnkę, z powtarzającym się co zwrotkę jakimś banalnym refrenem.

Po każdej zwrotce klaskali trzy razy w dłonie.

— Cicho smarkacze! Nie można własnych słów nawet słyszeć! — krzyknął starszy z mężczyzn, do zgrai chłopców.

Ci rozbiegli się spłoszeni, jak stado wróbli, przedrzeźniając jego łamaną niemczyznę.

— Chodźmy bliżej! — rzekł jeden z nich i weszli na podwórze. Tu spostrzegli śpiewające syreny. Było ich sześć, ubrane wszystkie czarno, jednostajnie. Śpiewały czystym głosem piosnkę, na temat zgubnego działania alkoholu.

Obaj panowie patrzyli uśmiechnięci.

Z okna czwartego piętra rozległ się homeryczny śmiech; byli to dwaj młodzi ludzie, którym podobała się nadzwyczajnie piosnka młodych dziewcząt.

Chociaż śpiewającym ciągle przeszkadzano, te sobie z tego nic nie robiły, co najwyżej rzucały czasem swój karzący wzrok pod adresem zuchwałego śmiałka.

— Nie śpiewajcie takich głupstw — zawołał woźnica, czyszczący powóz na podwórzu — przecież wódka jest boskim trunkiem i najlepszem lekarstwem na frasunek!

To rzekłszy, wyciągnął sporą flaszkę wódki z kieszeni i pociągnąwszy dobry łyk, zapraszał do niej śpiewaczki.

Widzowie podwórzowi parsknęli śmiechem na takie wezwanie.

Potem posypały się pieniądze ze wszystkich okien.

Jedna z dziewcząt pozbierała miedziaki i dziękując, rzekła głośno:

— Niech Bóg wynagrodzi!

— Całkiem tak, jak u nas — odezwał się młodszy. — Nie sądziłem, aby w Niemczech były także podwórzowe śpiewaczki.

— Ależ oczywiście, że są, mój Harry — rzekł starszy zwracając się do wyjścia i dając również kilka drobnych monet śpiewaczkom. — Ta armia, głosząca wstrzemięźliwość od alkoholu, jest bardzo rozpowszechnioną w Niemczech.

Dziewczęta zaczęły nową piosnkę o kochanku, który poszedł w świat szukać szczęścia i chleba i nie powrócił już więcej do swej wybranej.

Piosnka śpiewana była tak poważnie, a treścią była tak przejmująca, że nawet śmiejący się dotąd słuchali jej z uwagą.

Obaj Anglicy słuchali także zatrzymawszy się w sieni, gdy nagle zbiegła ze schodów jakaś dziewczęca postać. Wiała od niej rozpacz i boleść.

Oczy jej były załzawione, usta drgały nerwowo. Poczęła, blada i wzruszona, słaniać się.

Mimowoli starszy z panów wyciągnął ramię, aby słaniającą się uchronić przed wypadkiem.

— Co jest pani? — zapytał przerażony, patrząc na jej trupią twarz.

— Ta pieśń! ta pieśń! — krzyczała młoda panna — nie mogę jej słuchać!

Omdlała opadła w ramiona mężczyzny.

Obaj panowie stali bezradni, nie wiedząc, co począć z omdlałą panną.

Przez sień przechodził mały chłopiec, gwizdając jakąś aryę.

— Czy nie znasz przypadkiem tej panny? — zapytał przechodzącego, przypadkowy Samarytanin. Wyrostek wpatrzył się w twarz dziewczyny i powiedział:

— To jest panna Sondermann.

— Mieszka ona tutaj?

— To jest córka starego radcy, z drugiego piętra!

— Bądź łaskaw powiedzieć panu radcy, że córka jego zemdlała!

Przytaknął głową i pobiegł na górę.

Szerlok Holmes i Harry Takson, bo oni byli owymi nieznajomymi, wzięli omdlałą ostrożnie na ręce i zanieśli do jej mieszkania, gdzie na progu oczekiwał ich już przestraszony stary Sondermann, poinformowany o zasłabnięciu córki, przez małego chłopca.

— Na Boga! Co się stało mojej córce — zapytał radca przestraszony, nie wiedząc, co czynić.

Proszę panów do mieszkania — dodał po chwili.

Oddali omdlałą pannę w ręce starej służącej, sami zaś weszli do salonu, dokąd zaprosił ich stary radca.

— Serdecznie panom dziękuję — rzekł, ściskając obu ręce — moje biedne dziecko nabawiło się skutkiem pewnego wypadku silnej choroby nerwowej. Wystarczy najdrobniejsze wrażenie, aby zaraz uległa atakowi chorobliwemu. Co ją mogło teraz poruszyć, to doprawdy nie wiem.

— Może pieśń, którą śpiewały podwórzowe artystki — odezwał się starszy z mężczyzn.

— Bardzo możliwe — odparł radca, z wyrazem smutku na twarzy. — Słyszałem, że śpiewały o jakimś nieszczęśliwym, który zginął, a właśnie podobna tragedya dotknęła moją biedną córkę.

Obawiam się, że ona tego nie przeżyje.

Wprost nie rozumiem, że mimo najgorliwszych dochodzeń naszych władz, nie zdołano dotąd odkryć żadnych śladów młodego człowieka, ewentualnie sprawcy jego nieszczęścia.

Obaj mężczyźni patrzyli się z politowaniem na nieszczęśliwego ojca, choć dobrze nie mogli zrozumieć, o jaki to wypadek chodzi.

Radca mówił u[illegible]wanemi słowy, chaotycznie, jakby do siebie, a [illegible] nieznajomych.

Po chwili, jakby zbudzony ze snu, przemówił:

— Panowie darują, że się dotąd nie przedstawiłem, ale mam tyle trosk na głowie, że poprostu zapominam czasem, że żyję. Jestem Sondermann.

— Szerlok Holmes — rzekł starszy mężczyzna — a to mój uczeń Harry.

— Więc pan jest tym wielkim światowym detektywem? — zawołał, przerywając radca i rzucił się ku mistrzowi.

— Pomóż pan — wołał, obejmując go ramionami — pomóż pan, zaklinam cię, nieszczęśliwemu ojcu, którego dziecko ginie z rozpaczy! Zlituj się nad rodziną, która rozpacza z trwogi o zaginionego, najukochańszego syna. Zajmij się pan odszukaniem młodego Steinerta. Pan tylko to potrafi, pan jeden, nikt inny.

— Nie wiem jeszcze dobrze, o jaką sprawę chodzi, domyślam się tylko kilka szczegółów. Racz pan opowiedzieć mi dokładnie rzecz, o którą idzie.

— Daruj pan, że tego dotąd nie uczyniłem. Zajmijcie panowie miejsce, zaraz skreślę całą tragedyę, która dotknęła dwie rodziny.

Usiedli przy stole.

— Moja córka — rozpoczął radca — była potajemnie zaręczoną z młodym człowiekiem, Steinertem, potajemnie w tem znaczeniu, że formalnie na nie zezwolenia nie dałem, choć o wzajemnych uczuciach młodej pary wiedziałem.

Steinert prosił mnie niedawno o rękę mej córki, ja jednak odmówiłem aż do czasu, kiedy będzie miał własne stanowisko. Młody Steinert wyszedł odemnie złamany na duchu.

Nie spodziewałem się, aby odmowę moją wziął sobie tak do serca, tem bardziej, że zakomunikowaną mu była w formie jak najdelikatniejszej. Od tej chwili młodzieńca więcej nie widziałem.

Moja córka, która wyglądała dotąd jak róża, od czasu zniknięcia narzeczonego, gaśnie nam prawie w oczach.

Czynię sobie ciężkie wyrzuty, że moją stanowczością doprowadziłem chłopca do rozpaczliwego kroku i katastrofy.

Pocóż bowiem, syn tak zamożnych rodziców miał się starać o kawałek chleba, jak ja tego od niego żądałem. Na myśl, że ja ponoszę winę nieszczęścia mej córki, nie mogę znaleźć chwili spokoju. Tak panowie, jestem winny śmierci, świetne nadzieje rokującego młodzieńca...

— Jego śmierci? Czy sądzi pan, że młody Steinert nie żyje? — zapytał Szerlok.

Radca skinął potakująco głową.

— Czy córka pańska nie widziała się od czasu, w którym odmówiłeś mu pan zgody na zaręczyny z narzeczonym?

— Tego nie wiem. Na kilkakrotne me zapytania, córka odmówiła mi wszelkiej odpowiedzi w tym kierunku.

— Czy Steinert wychodząc od pana radcy po ujemnym wyniku swej prośby, był w takim stanie, któryby dozwalał na przypuszczenie, że mógł popełnić samobójstwo? — Może zdradził się z czemś podobnem? Szerlok starał się z twarzy starca wyczytać odpowiedź na swe pytania.

Radca załamał ręce.

— Nie, zupełnie nie — rzekł złamanym głosem. Moja córka — ciągnął po chwili dalej — jest od tego czasu wrogo dla mnie usposobioną, schodzi mi o ile możności z drogi, a na zapytania po większej części zbywa mnie milczeniem.

Szerlok Holmes namyślał się przez dłuższą chwilę.

— To jest dowodem, że córka rozmawiała z narzeczonym po jego nieudałych oświadczynach — powiedział Holmes, przeciągając laską po wzorzystym dywanie Od niego musiała się dowiedzieć o wyniku oświadczyn i dlatego jest na pana zagniewaną. Sądzi, że pańska stanowczość i nieugiętość wpłynęła na zniknięcie narzeczonego.

— O tem nie myślałem. Pan ma racyę. Pewnie się z nim widziała.

Wielki detektyw wstał!

— Na razie nie można w tej sprawie nic zrobić — rzekł. — O ile zdrowie pańskiej córki się polepszy, zadam jej parę pytań, za pana zezwoleniem.

— Bardzo będę panu zobowiązany, panie Holmes.

Stary radca odprowadził Holmesa do drzwi.

— Będę się poczuwał do wiecznej wdzięczności, jeśli pan raczy wziąć sprawę w swoje ręce — dodał, żegnając się.

— Jestem na to już zdecydowany. Cała historya zajęła mnie szczerze. Czy mógłbym wiedzieć o miejscu zamieszkania rodziców Steinerta?

Radca Sondermann powiedział żądany adres, który zanotował Harry, na znak dany mu przez Holmesa.

ROZDZIAŁ IV.

Pierwsze ślady.

W domu radcy komercyonalnego Steinerta panowało wielkie przygnębienie. Radczyni siedziała w swoim buduarze z zaczerwienionemi od płaczu oczyma, w oknie pokoju jadalnego stali dwaj starsi synowie, rozmawiając ze sobą po cichu, głowa zaś domu, stary radca, chodził dużymi krokami po swojej kancelaryi.

W rękach, założonych za sobą, ściskał stary Steinert kurczowo pomięty list i od czasu do czasu przypatrywał mu się, potrząsając poważnie głową.

Wtem zapukano do drzwi. Na szorstkie zaproszenie radcy, wszedł do pokoju służący w liberyi.

— Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzano! — krzyknął Steinert. Służący skłoniwszy się, podał mu na tacy wizytową kartę.

Mechanicznie wziął ją radca do ręki i przeczytał:

„Szerlok Holmes

życzy sobie, poinformowany przez przyjaciela rodziny o nagłem zniknięciu syna, ofiarować w tej sprawie swoje usługi.“

— Jak na zawołanie się zjawia! — rzekł sam do siebie i obróciwszy się do służącego, powiedział:

— Poproś tego pana.

W kilka minut później prowadził Holmes z radcą ożywioną rozmowę.

Nie dowiedział się Holmes nic ważnego, ani nowego. Jedynie mniemanie Sondermanna, jakoby młody Steinert uniesiony rozpaczą z powodu otrzymanej rekuzy miał popełnić samobójstwo, zbił radca jako wykluczone, gdyż odmowa nie była stanowczą, tylko warunkową.

— Zjawienie się pana u nas, uważam za zrządzenie Opatrzności. Mogę panu zupełnie zaufać, a z drugiej strony wiem, że pan nie będzie się nudził, jeśli go wtajemniczę w moje kłopoty.

Steinert wypowiedział te słowa z wielką powagą.

Kiedy Holmes zapewnił go o ścisłej dyskrecyi, podszedł do biurka. Stąd wziął zmięty list, z którym chodził przedtem po pokoju i odezwał się do Holmesa:

— Ten oto list panie Holmesie, przysłał nieznany mi zupełnie bank. Pisze w nim, że napróżno wzywał mego syna, aby wykupił zastawioną książeczkę bankową i weksel na dwanaście tysię-

cy marek. Gdy kilkakrotne upomnienie pozostało bez skutku, jest zmuszony zwrócić się do mnie.

Pytam się pana: — Dlaczego syn mój zeskontował weksel w tym obcym banku, kiedy mógł pieniądze otrzymać odemnie. Mógł je zresztą podjąć w banku, w którym miał złożone dwadzieścia dwa tysiące marek własnej gotówki, odziedziczonej po babce. Wypłaconoby mu tę sumę bez wahania.

Na co potrzebował wogóle tyle pieniędzy, jest także niezrozumiałe. Cała sprawa stanowi dla mnie zagadkę nie do rozwiązania.

— Do czego potrzebował pieniędzy, mogę panu wytłómaczyć — odparł detektyw i opowiedział uważnie słuchającemu Steinertowi, o czem się dowiedział od radcy Sondermanna.

— Stary, przewrotny lis — wybuchnął Steinert, gdy Holmes skończył — kto wie, co za głupstwo zrobił mój syn dla nierozsądnych żądań tego dziwaka.

Dziwnem mimo wszystko wydaje mi się fakt, że zwrócił się właśnie do banku obcego i podrzędnego.

Szerlok Holmes namyślał się dłuższy czas.

— Szczegóły te — rzekł po przerwie — nasuwają mi podejrzenie, że jakiś obcy dostał w swe ręce książeczkę bankową pańskiego syna i w ten sposób podjął samowolnie pieniądze. Ponieważ spodziewał się, że w banku, na jaki opiewała książeczka, nie dostanie pieniędzy, gdyż tam znali osobiście syna, zwrócił się do obcej instytucyi. Tutaj nie znano właściciela książeczki, to też skoro jej okaziciel wystawił weksel, zostawiając równocześnie na zastaw książeczkę, wypłacono mu natychmiast żądaną gotówkę.

— Pan sądzi zatem...

— Sądzę, że na pańskim synie popełniono zbrodnię — odpowiedział z naciskiem Holmes.

Radca komercyonalny podskoczył w krześle jakby go żmija ukąsiła.

— Na Boga! Mów pan jaśniej! Co pan przypuszcza? —

— Na razie nic nie wiem jeszcze pewnego — zauważył spokojnie Holmes i mówił dalej:

— Przypuśćmy, że syn pana nakłoniony przez swego przyszłego teścia, starał się o odpowiednią posadę. Studyował inseraty w dziennikach, aż w końcu natrafił na jeden, którego treść mu odpowiadała.

Przy każdej większej posadzie potrzeba gotówki na kaucyę. Mógł ją dać, gdyż posiadał własny majątek.

Należałoby jednak stwierdzić, kiedy dokonano na nim rabunku, czy kiedy już podjął pieniądze z banku, czy też padł ofiarą przestępcy, który zmyślił anons i pozbył się w zbrodniczy sposób właściciela książeczki bankowej, a następnie zostawił ją w banku, i wziął dwanaście tysięcy marek na weksel.

— Panie, to są straszne przypuszczenia -- krzyknął stary radca, trzymając się za głowę.

— Uspokój się pan — są to domysły, nie fakty — rzekł sławny detektyw.

Na razie proszę pana — dodał Holmes—o dwie rzeczy.

Raczy pan dostarczyć mi coś własnoręcznie pisanego przez syna i zostawić list z banku.

Prawie bezprzytomny podszedł stary radca do biurka i wyjął jakiś list. Złożył go wraz z pismem bankowem i podał Holmesowi, który uścisnąwszy rękę strapionego starca, chciał opuścić mieszkanie.

Już wychodząc zapytał jeszcze radcy, czy syn mieszkał u niego w domu?

Stary Steinert zaprzeczył ruchem głowy.

— Ponieważ nie znosił się bardzo z braćmi mieszkał po kawalersku, przychodził tylko na obiady. Obsługiwała go stara nasza służąca.

— Czy mógłbym prosić o adres jego mieszkania?

Steinert wymienił go.

— Na dzisiaj żegnam pana radcę — rzekł na odchodnem Holmes. — Wkrótce dam panu wiadomość o postępującem śledztwie. Tymczasem głowa do góry.

Detektyw udał się do domu bankowego firmy Seligman i Aron, jak opiewał nagłówek listu otrzymanego przez Steinerta.

Natychmiast kazał się oznajmić szefowi banku. Instytucya nie zasługiwała nawet na ten szumny tytuł, nie była bowiem niczem innem, jak zwykłym interesem wekslarskim w bocznej, ciemnej ulicy. Z wielkiem uszanowaniem wprowadził Holmesa pan szef Seligman do swego prywatnego biura. Tu spytał się o powód odwiedzin gościa.

Szerlok Holmes pokazał mu list firmy.

— Powodem mych odwiedzin jest ten list.

— Bogu dzięki – przerwał mu bankier o krzywych nogach. — Weksel zostanie nareszcie wykupiony. Czy pan jest krewnym pana Steinerta?

Detektyw zaprzeczył głową i pokazał swą kartę wizytową.

Przerażenie przebijało się na twarzy bankiera.

— Czy mógłbym widzieć zastawioną książeczkę, weksel i kwit zastawniczy? — spytał grzecznie Holmes, a aby uspokoić szefa, który patrzył na niego przestraszony, dodał:

— Chodzi mi tylko o sprawdzenie autentyczności podpisów. Pana to zupełnie nie dotyczy ani też pańskiego banku.

Wolno powstał z krzesła Seligman i wyszedł. Wkrótce przyniósł żądane przedmioty.

Szerlok rozwinął nerwowo pismo, które dostał od starego Steinerta. Był to zwykły list, pisany do rodziców. Pismo było równe, prawie kaligraficzne i można je było nader łatwo rozpoznać.

Z zapartym oddechem porównywał Holmes podpisy na wekslu.

Co Szerlok przypuszczał sprawdzało się: Podpisy młodego Steinerta na wekslu i kwicie zastawniczym były sfałszowane, tylko książeczka bankowa miała prawdziwy podpis.

Poruszony zwrócił się detektyw do opartego o stół i obserwującego go uważnie Seligmana.

— Czy mógłby mi pan opisać mężczyznę, który swego czasu zastawił u pana niniejszą książeczkę bankową?

— Jak wyglądał? Nie bardzo przystojny — odparł podrażniony bankier.

— Mały, czy duży, cienki czy gruby? Opisz go pan dokładniej! — pytał niecierpliwie Holmes.

— Był średniego wzrostu, przesadkowaty, włosy miał czarne, stojące jak kolce u jeża! — zdecydował się wyjaśnić pan Seligman, bawiąc się swoim łańcuszkiem od zegarka.

— Barwa oczu? — badał dalej Holmes.

— Oczy czarne, nos i usta proporcyonalne, szczególnych znaków nie miał żadnych — odparł z tajonym uśmiechem bankier.

Po krótkim namyśle dodał:

— Jeden szczegół powiedziałem niedokładnie, bo usta miał wydęte, a nad jednem okiem czerwoną bliznę, jakby ze świeżo wyleczonej rany.

Szerlok notował wszystko gorliwie.

Powstał dosyć zadowolony z otrzymanych wyjaśnień. Kwit zastawniczy wziął ze sobą.

— Zwrócę go panu później — rzekł do zdumionego Seligmana — na razie jest mi potrzebny.

Pożegnał go skinieniem głowy i wyszedł.

ROZDZIAŁ V.

Straszne odkrycie.

Następnie udał się Holmes na ulicę Uhlanda, gdzie mieszkał młody Steinert i stara sługa czekała wciąż jeszcze na powrót swego panicza.

Przyjęła detektywa z zapłakanemi oczyma. Dowiedziawszy się o celu odwiedzin Holmesa rozpuściła swój język jak kołowrotek.

Opowiadała mu, co za poczciwe dziecko było z pana Janeczka, którego ona wykołysała. Szerlok miał wiele kłopotu, zanim dopuściła go do głosu i odpowiedziała na zadane przez niego pytania.

— Czy pan Steinert miewał częstych gości u siebie? — było pierwsze pytanie Holmesa.

— Właściwie powiedziawszy — odpowiedziała Anna — nikt go nie odwiedzał. Zwykle dużo czytywał. Pisywał listy przeważnie tylko do młodej panienki, która miała być jego narzeczoną. Kilka razy był tu jeden nieznany mi bliżej pan, z którym panicz dłużej rozmawiał.

— Jak wyglądał ten pan?

Holmes w naprężeniu oczekiwał odpowiedzi, jakkolwiek zdawał się być zajęty temperowaniem ołówka.

Stara służąca opisywała zupełnie taksamo owego pana, jak bankier, u którego zastawiono książeczkę bankową Steinerta. Dosyć miał teraz detektyw szczegółów, które podnieciły jego węch śledczy.

— Miał na czole bliznę?

— Bliznę nie, ale czarny plaster gazowy nad okiem.

— Słyszała pani rozmowę może?

— Nie. Nie podsłuchuję z zasady pod drzwiami — odpowiedziała dumnie.

— Czy pani wiedziała, że pan Steinert miał się zamiar żenić?

Potwierdziła głową. Łzy spadały jej po twarzy.

— Wiedziałam o tem, bo zwierzał mi się ze wszystkiem. Zawsze mówił:

— Anno, ja ci ufam zupełnie.

Już jako mały chłopiec dzielił się ze mną swemi troskami. Jeśli np. przyniósł złe świadectwo, bo łacina szła mu ciężko, radziliśmy razem, w jaki sposób ułagodzić gniew starszego pana...

— Czy opowiadał pani o swych planach na przyszłość? — przerwał jej Holmes, widząc, że zabiera się do dłuższego opowiadania.

— Mówił, że się wkrótce ożeni i że mnie we-

źmie do siebie. O ile sobie przypominam, miał wstąpić do spółki fabryki chemicznej jakiegoś Dahlema, na przedmieściu. Powiedział mi to pod tajemnicą, że starszy pan nie śmie o tem wiedzieć, dopóki sprawa nie będzie ułożoną.

— Dziękuję, panno Anno!

Holmes zamknął notatnik i zadawszy jeszcze parę obojętnych pytań, oddalił się.

Poznał już dokładnie łapkę, w jaką wpadł nieszczęśliwy młody Steinert.

Wstąpił po drodze do restauracyi hotelu i kazał sobie podać księgę adresową. Szukał, czy wspomniana przez służącą fabryka znajduje się w okolicy Berlina. Znalazł, że rzeczywiście taka istnieje.

Wypił szklankę wina i wyszedł na ulicę. Po chwili wskoczył do przejeżdżającego tramwaju i pojechał do wskazanej fabryki.

Właściciel przyjął go nader uprzejmie i ździwił się niemało, nie mogąc pojąć, o co Holmesowi szło. W duchu wydawały mu się pytania przybysza dziwaczne i bez sensu.

Dopiero kiedy Holmes wylegitymował mu się, jako detektyw i przedstawił całą sprawę, stał się rozmowniejszym.

— Mój panie, nie miałem nigdy zamiaru przybierać sobie wspólnika. Fabryka moja znajduje się w pełnym rozkwicie — rzekł, targając nerwowo swoją brodę.

— Czy nie zna pan takiego mężczyzny? — spytał Holmes i wyciągając swój notatnik, opisał dokładnie zewnętrzny wygląd mężczyzny, który zastawił książeczkę młodego Steinerta.

Właściciel fabryki przysłuchiwał się uważnie i w końcu odezwał:

— Podobnych mężczyzn jest wielu na świecie. Opisanego nie przypominam sobie zupełnie.

— Zna pan może rodzinę Steinertów?

— Rodziny nie. Spotkałem raz tylko starszego pana Steinerta na zgromadzeniu. Słyszałem, że ma trzech synów, których jednak nigdy nie widziałem na oczy. Wogóle bliższe szczegóły odnoszące się do jego rodziny są mi obce.

Rozmowa nie przyniosła żadnych wyników i Holmes opuścił skwaszony właściciela fabryki, po którym sobie wiele obiecywał. Ślad sprawcy na razie zaginął i nie było nadziei odnalezienia go.

Przy bramie żelaznej kraty, która otaczała całą fabrykę oczekiwał na Holmesa, jak się umówili Harry Takson. Nie pytał go o nic, gdyż poznał, że mistrz jest w złym humorze.

Milczący szli szosą. Po prawej stronie rozpościerał się las jodłowy. Szerlok zapalił ulubioną krótką fajeczkę i puszczając kłęby dymu przed siebie, zastanawiał się nad dotychczasowymi wynikami dochodzeń.

Z jednego zdawał sobie jasno sprawę: Zaginionego Steinerta usunięto z drogi, zamordowano go. To było prawie pewnem...

— Gdzie jednak jest morderca i gdzie ukrył swą ofiarę? — napróżno szukał na to w myśli odpowiedzi mistrz detektywów.

Zapuścił swój badawczy wzrok w głąb lasu, jakby stamtąd miało przyjść wytłómaczenie zagadki. Lecz drzewa nie mogły przemówić.

Mimowoli zwolnił kroku.

Czy ten posępny las nie był przystępny do spełnienia zbrodni? Czy nie można w nim było wykonać czynu, który nie znosił blasku dnia?

Nikt nie usłyszałby tu przecież krzyku mordowanej ofiary!

— Wiesz co, Harry — rzekł po krótkim namyśle — powałęsamy się trochę po lesie.

Zbadał rewolwer, aby w razie jakiegoś niepopotrzebnego spotkania miał broń na pogotowiu, poczem weszli na wązką ścieżkę leśną, postępując jeden za drugim.

— Mistrzu, jesteś dziś niezadowolony ze swoich wyników? — odezwał się Harry pytająco.

— Dotychczas rzeczywiście nie mam powodów do zadowolenia, ale jeszcze dzień nie upłynął — odpowiedział Holmes, zwracając się do ucznia z uśmiechem.

Im głębiej szli w las, tem większa była gęstwina. Zmrok coraz więcej ponury otaczał ich dokoła. Cisza panowała niczem nie zamącona. Tylko czasami słychać było spłoszoną sarnę, uciekającą wielkich susach na widok ludzi.

Nagle Holmes przystanął.

Przed nimi znajdowała się kupa chrustu, na którą początkowo nie zwrócił uwagi. Przyglądając się bliżej poznał ślady zaschłej krwi.

Odrzucał gałąź za gałęzią, jakby szukał za czemś.

Nagle ukazała się z pod chrustu noga elegancko obuta.

Z szeroko rozwartemi z przerażenia oczyma pomógł Harry Holmesowi w usuwaniu gałęzi. Na jego twarzy widać było grozę i przestrach. Przypatrywali się na siebie nie mogąc przemówić ani słowa.

To co zobaczyli, odebrało im mowę.

W blasku ostatnich promieni zachodzącego słońca leżały zesztywniałe zwłoki dostatnio ubranego młodego mężczyzny z podartym kołnierzem od koszuli. W martwych źrenicach malowała się bezgraniczna rozpacz i milczące błaganie o litość i darowanie życia.

Szerlok pochylił się nad zabitym i zaczął przeszukiwać jego kieszenie.

Zegarka, łańcuszka i portmonetki brakowało, zarówno jak i portfelu. Na palcach były ślady z pierścionków, które siłą widocznie ściągnięto. Zostawiono zamordowanemu jedynie pierścionek z niezpominajką z turkusów, podobny do tych jakie pensyonarki dają sobie na pożegnanie przy rozstaniu. Rabuś uważał go za małowartościowy i dlatego nie zabierał ofierze.

Holmes zdjął ostrożnie pieścionek z palca i oglądał na wszystkie strony. Wewnątrz były wyryte słowa:

— Elza S. swemu kochanemu Jasiowi St. Zielone Święta. 1909.

Detektyw potrząsł głową, jakby znalazł potwierdzenie swoich domysłów i schował pierścionek ostrożnie do kieszeni.

Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, lecz on nie zważał na nic, tylko ciągle szukał, jakby koniecznie chciał znaleźć coś ważniejszego.

Na bieliźnie były wyhaftowane litery J. St. Szerlok wywrócił kieszenie surduta. Złamane cygaro, kilka biletów tramwajowych i drobnych kartek stanowiło całą zawartość. Detektyw usiadł na pniu i czytał świstek za świstkiem.

Naraz utkwił wzrok w kawałku papieru.

Było to ogłoszenie. które Jan Steinert wyciął z gazety i po odpisaniu adresu schował do kieszeni jako zupełnie zbyteczne.

Skoro Holmes przeczytał wycinek, podał go towarzyszowi.

— Widzisz, Harry — rzekł. — Tu jest pułapka, do której morderca zwabił swoją ofiarę, młodego Steinerta.

— Jesteś więc zdania, że zamordowany jest identyczny z zaginionym Steinertem? — spytał Harry Takson.

— Nie ulega żadnej wątpliwości — brzmiała odpowiedź — w ciągu następnego dnia potwierdzi nam panna Elza Sondermann, że ten pierścionek dała swemu narzeczonemu, jako znak trwałej miłości.

— To jest straszne — szepnął Harry, odwracając twarz od trupa, na którego dłużej patrzyć nie mógł.

— Popełniono tu morderstwo z rabunkiem — rzekł Holmes — trzeba zbadać, czy mordercą jest nadawca anonsu, czy też kto inny. Należy nam działać szybko.

Harry, udaj się na policyę i sprowadź komisyę. Ja tymczasem będę szukał dalszych śladów.

Posłuszny rozkazom mistrza, skierował Harry swe kroki w stronę miasta, aby zawiadomić władzę.

Holmes pozostał sam w ciemnym lesie i zajął się swoim notatnikiem, który pilnie studyował.

Równocześnie postanowił jeszcze raz zbadać miejsce zbrodni.

ROZDZIAŁ VI.

Kawałek gazy.

Szerlok Holmes przystąpił z kolei do przeszukania terenu, na którym dokonano morderstwa. Nachyliwszy się ze wzrokiem utkwionym w ziemię badał uważnie miejsce za miejscem. Śladów na ziemi nie można było odkryć żadnych, gdyż szpilki jodeł zupełnie je zasypały, a poza tem nie było widać nic takiego, z czegoby dało się wyciągnąć jakikolwiek wniosek.

Dłuższy czas zatrzymał się Holmes przy krzaku ostrężynowym. Przypatrując się badawczo zauważył coś podejrzanego, przysunął się bliżej i z wielką ostrożnością zdjął z gałązki kawałek szarej gazy.

— Gaza! — wykrzyknął uradowany.

Kawałek bandażu, na którym była jeszcze kropla zastygłej krwi. Detektyw schował z zadowoleniem ten cenny skarb do swego notesu — — —

W godzinę później nadeszła komisya sądowa.

Panowie przedstawili się sobie nawzajem i prowadzili poważną rozmowę odpowiednią tragicznej sytuacyi.

Milcząc, spełniał swoją funkcyę lekarz sądowy.

— Gwałtowna śmierć przez uduszenie — zadecydował, zamykając kasetkę z przyborami medycznymi.

— Zwłoki leżą już od kilku dni. Morderca musiał być silniejszym o wiele od ofiary, gdyż niema żadnych śladów stoczonej walki.

Członkowie komisyi otoczyli w milczeniu trupa.

— Zechciej pan spisać protokół — odezwał się wkońcu komisarz do towarzyszącego mu urzędnika.

— Pan jest zdania, panie kolego — spytał komisarz detektywa-mistrza — że spełniono tu morderstwo z rabunkiem?

Holmes potwierdził.

— — — — zarówno osoba zamordowanego, jak i morderca są nieznani — kończył dyktando komisarz.

Holmes przerwał jego słowa:

— Przepraszam, panie komisarzu, ale tak nie jest. Zmarły jest zaginionym przed kilku dniami młodym Steinertem Janem.

— Skąd pan wie o tem? — spytali zdumieni członkowie komisyi, otaczając gromadnie Holmesa.

Szerlok opowiedział im wszystko co wiedział, a co mógł im zakomunikować.

Wycięty z gazety inserat przechodził z ręki do ręki, obrączkę znalezioną na palcu oglądano także. Wkońcu nikt już nie miał wątpliwości, zarówno co do osoby zabitego, jak i motywów popełnienia zbrodni.

Uwiadomiono rodziców o znalezieniu nieboszczyka i ci z rozpaczą rozpoznali w trupie swego najmłodszego kochanego syna.

Narzeczona była w bezgranicznej rozpaczy i o mało nie przypłaciła życiem śmierci narzeczonego.

Następnego dnia rozlepiono po mieście czerwone plakaty, z doniesieniem, że za odkrycie mordercy Steinerta wyznaczono premię w kwocie trzech tysięcy marek.

Popołudniu tego samego dnia zeszli się Holmes Harry Takson, dyrektor policyi i komisarz kryminalny na naradę, w jaki sposób można wykryć i ująć niebezpiecznego mordercę.

— Złoczyńca jest wyrafinowanym zbrodniarzem i jego wyszukanie sprawi nam niemało trudności— zakonkludował dyrektor policyi, otrzepując popiół z cygara — sądzę, że najlepiej zrobimy podwyższając wynagrodzenie, które jest nałożone na jego głowę.

— Ja byłbym zdania — powiedział Holmes— że musimy użyć innego środka. Naprzód zamyślam za pozwoleniem komisyi udać się do zręcznego fotografa i sporządzić fotografię przypuszczalnego zbrodniarza, według szczegółów, jakie pozbierałem.

Następnie należałoby podobiznę rozesłać do wszystkich poczytniejszych dzienników z prośbą zamieszczenia kliszy i podania wszelkich szczegółów, tyczących spełnienia zbrodni.

— Pomysł bardzo dobry — rzekł komisarz, do czego dołączył się także i dyrektor.

Szerlok zapalił swoją kieszonkową fajkę.

— Dalej uważałbym za stosowne podać w kilku gazetach inserat tej treści, że młody człowiek poszukuje odpowiedniej posady i złożyć może kaucyę do trzech tysięcy marek... W sprycie, który ujawnił sprawca, można się spodziewać, że zwącha pismo nosem i nie pójdzie na nasz lep, ale nie jest wykluczone, że w swojej chciwości nie zauważy zastawionych sideł i da się złapać. W każdym razie należałoby spróbować, a może się uda.

Dyrektor policyi zaczął bębnić palcami po stole.

Zgodził się po chwili na propozycye Holmesa, a nawet rozwinął jego myśl:

— Równocześnie — dodał — roześlemy po wszystkich dyrekcyach policyi w Niemczech podobiznę zbrodniarza z prośbą, aby poszukano w urzędowych albumach zbrodniarzy za indywiduum podług naszego opisu. To samo proponuję, abyśmy sami uczynili. Proszę panów za mną.

Wstał, a za nim udali się wszyscy do archiwum.

W kilka chwil później wertował już Holmes album z fotografiami zbrodniarzy.

Wyciągnął z niego koło dwadzieścia sztuk i poukładał na stole. Wybrane poddał drobiazgowemu badaniu. Z wyszukanych fotografii zostawił sobie cztery, które najwięcej przypominały rysy poszukiwanego zbrodniarza.

— Mógłbym prosić o kopertę? — rzekł grzecznie Holmes do komisarza, który podał mu ją natychmiast.

— Za pańskiem zezwoleniem, panie dyrektorze, wezmę sobie te cztery fotografie na krótki czas. Oddam je bez uszkodzenia, skoro spełnią zadanie, aby nadal służyły do ozdoby cennego albumu.

Holmes powiedział to z ironicznym uśmiechem.

Dyrektor nie miał nic przeciwko temu. Szerlok schował fotografie i pożegnawszy się z przedstawicielami władzy odszedł z Harrym.

— Dokąd pójdziemy teraz? — spytał Takson, gdy znaleźli się na ulicy.

— Powinieneś zgadnąć — zaśmiał się Holmes. — Kilka ulic dalej mieszka zdolny fotograf, Anglik z urodzenia. Jego zręczność zawodowa jest zadziwiająca.

Oto już jesteśmy u celu, prędzej niż przypuszczałem.

Stanęli przed bramą wspaniałego domu, nad którą był wywieszony wielki szyld:

James Buchanan, artysta fotograf.

Holmes z Harrym weszli do wnętrza domu.

Czarno ubrana blondynka wprowadziła ich do atelier pryncypała. Wyglądał on rzeczywiście jak artysta. Długie włosy, podłużna twarz o regularnych rysach i grecki nos nadawały mu wygląd artysty malarza.

— Mam robotę dla pana, panie Buchanan — rzekł Holmes. — Taką, jaką tylko pan potrafisz wykonać.

Fotograf przypatrywał się chwilę Holmesowi, następnie rzekł, wyciągając rękę:

— Aa! Pan Holmes? Znam pana jeszcze z Londynu.

— Tak — odparł zapytany. — Pracowaliśmy razem w Londynie. Potrzebuję teraz gwałtownie pańskiej roboty i z zaufaniem oddaję się zręczności, w jego zawodzie.

— Zechciejcie panowie usiąść – prosił fotograf.

Holmes wyjął z koperty cztery fotografie i położył na stole.

Fotograf przypatrywał im się ciekawie.

— To są twarze samych szubieniczników — zauważył zdziwiony.

— Zgadłeś pan — rzekł obojętnie Holmes — właśnie z tych czterech twarzy musi mi pan zostawić jeden wizerunek zbrodniarza. Czy jest to możliwe?

Artysta namyślał się, gładząc zwolna swoją wspaniałą brodę. Po chwili odparł:

– Naturalnie, że mogę. Przez odpowiednie retuszowanie i kilka pomocniczych środków, można dziś dużo uzyskać. Tylko muszę wiedzieć dokładniejsze szczegóły, co do życzeń pana.

— Cierpliwości troszeczkę, panie mistrzu fotograficzny — rzekł Holmes, zadowolony że uda mu się jego plan. — Spodziewałem się tego, że nie będę się potrzebował rozwodzić długo nad moim pomysłem.

Proszę uważać, panie Buchanan.

Brał jedną fotografię po drugiej i mówił:

— Z tej pierwszej weźmie pan szerokie bary, krótką szyję, ostry nos i wystające kości policzkowe, z drugiej nabrzmiałe wargi, z trzeciej stojące włosy, wreszcie z czwartej chytry wyraz oczu. Nad czołem musi pan uwidocznić bliznę.

Zrozumiał mnie pan?

— Najdokładniej.

— Kiedyż mogę mieć żądaną podobiznę?

— Jak potrzeba, to może być jutro.

– Będę panu bardzo zobowiązany.

— Fotografia kombinacyjna będzie z pewnością jutro.

Z zadowoleniem opuścił Holmes z Harrym pracownię artysty.

Przez drogę Holmes nic nie mówił do towarzysza, tylko pstykał palcami, co zwykłe czynił, gdy coś szło po jego myśli.

ROZDZIAŁ VII.

Zemsta zdradzonej kochanki.

We wszystkich gazetach pojawiła się fotografia zbrodniarza wraz z dokładnym rysopisem. Na wszystkich rogach ulic przylepiono plakaty, a przechodząca publiczność z odrazą opowiadała sobie o ohydnej zbrodni.

Między falującym tłumem znajdował się także Szerlok Holmes.

Spodziewał się, że może rozpozna zbrodniarza wśród przechodniów. On bowiem gnany może ciekawością, prawdopodobnie w przebraniu, będzie się starał zbadać sytuacyę. Po głębszym namyśle doszedł jednak Szerlok do przekonania, że to przypuszczenie jest nieprawdopodobne. Zbrodniarz znalazłszy się w tłumie, musiałby być zaraz poznany, gdyż każdy miał przed oczyma jego fotografię.

Byłby bardzo naiwny, gdyby dał się w ten sposób złapać. O nim nie można zaś było tego powiedzieć, gdyż pokazał, że umie być sprytny i kuty na wszystkie nogi.

Szerlok przypatrywał się obojętnie dwom wyrostkom, którzy stali przed afiszami i rozprawiali o zamordowaniu Steinerta.

...Zwabił go do lasu i udusił. Ręką ścisnął gardło — mówił jeden z nich, ściskając równocześnie drugiego pod szyję.

– Nie próbuj tylko na mnie! — zawołał ze złością zaatakowany.

Dwie dziewczyny, zwracające na siebie powszechną uwagę krzyczącym strojem, rozdzieliły gotowych już do bitki młodzieńców i stanęły przed plakatem.

Nagle jedna z nich wydała ze siebie okrzyk przerażenia, chwytając się za serce.

— Leno, Leno, przypatrz się! — krzyknęła do drugiej patrzącej również z przestrachem na fotografię zbrodniarza. — To jest on, Henryk, o wydętych ustach, mój kochanek. Widzisz go?

Nastąpiła przerwa.

Szerloka zelektryzował ten wykrzyknik i w skupieniu przysłuchiwał się rozmowie dwu dziewcząt, aby nie stracić z niej ani słówka.

— Taak! to on — rzekła nazwana Leną. — Obraz nie jest zupełnie podobny, ale można go poznać. No, Elżbieto, teraz widzę dopiero, co to za ptaszek, ten twój Henryk. Nic nie szkodzi, że cię opuścił. Byłby cię przy sposobności również udusił, tak jak to ze Steinertem uczynił.

Elżbieta nawet jej nie słuchała.

— Zostaw mnie w spokoju. Słabo mi jest. Muszę jechać zaraz do domu. W sam raz nadjeżdża tramwaj, którym mogę powrócić.

Pobiegła przerażona ku przystankowi tramwajowemu, mając na głowie kapelusz z makami zupełnie osunięty na bok.

Pozostała patrzyła rozczarowana za odchodzącą.

— Czy to możliwe? Więc Henryk jest pospolitym zbrodniarzem? — mówiła pod nosem, patrząc z ukosa na podobiznę. Potem odwróciła się i poszła dalej ulicą.

Szerlok nie mógł podążyć za tak nagle oddalającą się Elżbietą, wobec tego udał się za jej towarzyszką.

Na zakręcie drogi przemówił do niej. Odpowiedziała mu z uśmiechem. Po kilku zdawkowych pytaniach, zapytał jej, czyby nie chciała zarobić dziesięciu marek.

— Z wielką przyjemnością — odrzekła.

— Niech mi pani da odpowiedź na kilka pytań, które jej zadam — przemówił uprzejmym głosem Holmes.

Zdziwiona przystanęła i popatrzyła z nieufnością na detektywa. Ten jednak wyjął obojętnie pugilares i wziął dziesięciomarkówkę do ręki.

Oczy dziewczyny zabłysły chciwością i natychmiast spytała:

— Na co mam odpowiedzieć?

— Co za jedną jest młoda koleżanka pani, z którą pożegnała się pani przed chwilą?

Zwlekala chwilę z odpowiedzią:

— Ona?... Elżbieta fiołkowa — rzekła.

— Elżbieta fiołkowa? A więc kwieciarka?

Zapytana zaprzeczyła ruchem głowy.

— Żadna kwieciarka; dlatego ma takie przezwisko, że jej narzeczony Henryk, „grubowargi“ jak go nazywają, podbijał oczy zawsze na niebiesko — rzekła strzelając oczami na złotą monetę w rękach Holmesa.

Detektyw z trudem pohamował uśmiech, wobec tak oryginalnego wytłómaczenia przezwiska.

— Zna pani Henryka „grubowargiego“ osobiście? — pytał dalej.

Zawahała się i powoli odpowiedziała:

— Nie, nigdy z nim nie miałam bliższego stosunku. Był dla mnie odpychający.

Odpowiedź była wymijającą, dziewczyna bała się widocznie pytającego, upatrując, że ma on jakąś styczność z władzami.

Detektyw przeczuł instynktownie, że nie wydobędzie niczego więcej z dziewczyny, a chciał jeszcze dowiedzieć się adresu narzeczonej zbrodniarza. Obawiał się, że dziewczyna będzie się miała na ostrożności i nie powie mieszkania swej przyjaciółki. Tymczasem prędzej, niż się spodziewał, dopiął celu, sama mu bowiem w tem dopomogła.

Kiedy jej się obojętnie wypytywał o Elżbietę, przyjaciółka jej w przystępie zazdrości zawołała z gniewem:

— Pana widzę zajmuje bardzo Elżbieta. Chce pan jej adres? Mieszka ulica Rolnicza l. 33, oficyny, u Kulikowej.

Skończywszy odwróciła się ze złością i chciała odejść.

— Widzę, żem nadużył cierpliwości pani — odezwał się Szerlok, notując sobie równocześnie adres na manszecie. — W każdym razie dziękuję. Do widzenia.

Przy pożegnaniu wcisnął jej w rękę złoty pieniądz i odszedł. Przez chwilę obracała zdziwiona monetę na wszystkie strony, jakby badała jej prawdziwość.

Następnie schowała do kieszeni, popatrzyła za odchodzącym Anglikiem i z pogardliwym uśmiechem rzekła:

— A to dureń! Płacić zadarmo pieniądze!

Szerlok nie słyszał tak pochlebnego o sobie wyrażenia, bo pospieszył tramwajem pod wskazany adres.

Wysiadł przed bramą brudnej kamienicy. Bez namysłu wszedł do sieni, przeszedł pusty dziedziniec i skierował swe kroki do oficyn. Tu rozglą-

dał się na wszystkie strony, chcąc odczytać napisy na drzwiach.

„M. Kulik“ — przeczytał wreszcie na jednej tabliczce i pociągnął za dzwonek.

Niedbale ubrana starsza kobieta otworzyła mu drzwi, mierząc go swoim badawczym wzrokiem.

— Chciałbym pomówić z panną, która tu mieszka.

— U mnie jest ich kilka. Z którą?

— Z Elżbietą fiołkową — rzekł szybko.

Kiedy wskazywała Anglikowi jej mieszkanie, zabłysnął na jej twarzy drwiący uśmiech.

Detektyw zapukał i wszedł do nędznie umeblowanego pokoiku.

Z pod okna podniosła się dziewczyna z zapłakanemi oczami, siedząca bezczynnie przy maszynie do szycia. Poznał natychmiast Elżbietę, pomimo, że miała napuchłe i zaczerwienione od płaczu oczy.

Szerlok Holmes przedstawił jej się jakby jakiej damie z wielkiego świata, lecz skoro tylko dziewczyna usłyszała jego nazwisko, zbladła i zaczęła płakać.

— Znam pana, bo słyszałam i czytałam wiele o panu i jego przygodach. Pan jesteś detektywem — krzyknęła. — Przyszedł mnie pan aresztować!

— Ależ nie! — odparł spokojnie Holmes. — Nie potrzebuje pani mnie się obawiać. Chciałbym tylko, aby mi pani odpowiedziała na kilka pytań.

— Niech pan pyta o co pan tylko chce — rzekła, siadając na kulawym stołku.

Holmes usiadł naprzeciw niej na starej, potarganej sofce.

— Co wiem — dodała dziewczyna — wszystko panu wyjawię. Nie jest tego zbyt dużo. Jeśli idzie o schwytanie tego gałgana, którego fotografię rozwieszono na ulicach, to mogę i chcę być panu pomocną.

Nazwisko tego łajdaka, który mnie do tego doprowadził, czem obecnie jestem, brzmi: Henryk Bender. Przezwisko „grubowargiego“ dostał z powodu swoich mięsistych, zwieszających się warg.

Tak zdradziłam go. To jest moja zemsta.

Powiedziała to wszystko w najwyższem rozdrażnieniu. Akcent jej mowy i sposób wyrażania się wskazywał na to, że musiała pochodzić z lepszej rodziny. Niesumienny drab uwiódł ją i wtrącił w błoto. Stwierdzenie tego nie leżało jednak w zamiarach Holmesa.

Zadowolony ze siebie i wyniku swoich badań, zanotował nazwisko. Nie mógł wprawdzie twierdzić, czy on jest rzeczywiście mordercą Steinerta. Gdyby i tak było, nie wiedział, gdzie on przebywa i gdzie go ma szukać?

— Czy poznała go pani na afiszach urzędowych?— zapytał dziewczyny, patrząc na nią badawczo. Potwierdziła pytanie.

— Natychmiast — rzekła. — Wszystko jest uchwycone w podobiźnie, czem wpada w oczy. Nawet blizna nad czołem. On to musi być, nikt inny.

— Gdzie otrzymał ranę? Nie wie pani tego?

— Podczas włamania do sklepu towarowego, które urządził na spółkę z kompanem. Przeszkodzono mi i o mało nie przytrzymano. Uciekali przez dachy. Przy opuszczaniu po rynnie, spadł z dość znacznej wysokości i odniósł ciężką ranę nad czołem. Leczył się dłuższy czas, a po zagojeniu rany odeszła go wszelka chęć do włamywań.

Odtąd starał się lekką pracą zarabiać na życie, puścił się na operacye z kaucyami, które wyłudzał, ze skutkiem uprawiał oszustwa pod pozorem małżeńskim.

Mnie opuścił już dawno. Zostawił mnie bez środków do życia, zabierając również mój zoszczędzony majątek, który z domu odziedziczyłam. Nie dlatego, żebym była zazdrosną o niego, bo go już przestałam dawno kochać, ale ze zemsty. Czytając o zamordowaniu młodego Steinerta w gazetach, zaraz podejrzywałem, że on go zamordował.

Na chwilę przerwała, jakby wyczerpana.

— Dlaczego pani go podejrzywała? — zapytał badawczo Holmes.

— Pewnego dnia zauważyłam, jak wszedł do ładnej kamienicy. Poszłam ukradkiem za nim. Zadzwonił do jednego mieszkania i jakaś stara kobieta go wpuściła. Podeszłam aż do drzwi mieszkania, na którym była wizytówka: „Jan Steinert“.

Kiedy potem czytałam o zabiciu syna radcy komercyonalnego Steinerta, zaraz domyśliłam się, kto jest mordercą.

Dziś zobaczyłam po ulicach rozlepioną fotografię. Na razie opanowała mnie rozpacz, przecież go niegdyś kochałam. Teraz już wszystko przeszło.

Wydaj go w ręce sprawiedliwości. Ja sama, ile tylko będę mogła, pomogę w aresztowaniu tego zbrodniarza.

Zamilkła. Podparłszy głowę rękami, patrzyła zapłakanemi oczyma przed siebie. Przez chwilę

wydawało się, że żałuje tego, co powiedziała, lecz nagle powstała i zrobiwszy obojętny ruch ręką, rzekła jakby do siebie:

— Teraz już wszystko jedno!

Szerlok Holmes tymczasem notował sobie wszystko.

— Gdzie on teraz przebywa, nie wie pani?— zapytał jeszcze.

— On nie ma stałego miejsca zamieszkania— odpowiedziała. — Jest tak, jak żyd, wieczny tułacz. Jak mnie opuścił, chciał się przyczepić do Leny brylantowej, ale ta odsunęła się wkrótce od niego.

— Lena z brylantami? Czy ta przyjaciółka pani, z którą staliście przed obwieszczeniem władzy?

Zawahała się trochę, ale zaraz rzekła:

— Tak, ta sama. Co do Henryka, nie wiem już nic więcej. Nie widziałam go od paru tygodni.

— Dziękuję pani bardzo. Pozwoli pani, że ją pożegnam.

Do widzenia pani.

Holmes oddalił się, obserwowany ciekawie ze wszystkich okien w kamienicy.

ROZDZIAŁ VIII.

Zuchwały morderca.

Holmes udał się następnie do redakcyi jednego z dzienników, gdzie nadał zmyślone anonsy. Nadzieja, że łatwym sposobem pochwyci zbrodniarza, okazała się zwodniczą. Gdy po kilku dniach zjawił się w administracyi anonsów gazety, urzędnik, któremu powiedział adres, szukał nadaremnie odpowiedzi na kilkakrotny anons, wkońcu wstrząsnął przecząco ramionami:

— Bardzo mi przykro, ale nie mam dla pana żadnej odpowiedzi.

Już miał Szerlok Holmes opuścić zabudowanie redakcyjne, kiedy jego uwagę zwróciła ożywiona rozmowa dwu panów.

— Bezczelna zuchwałość — mówił jeden z nich, wysoki, cośkolwiek otyły mężczyzna, o pięknej brodzie — coś podobnego nie zdarzyło mi się w mojej kilkudziesięcioletniej praktyce jeszcze nigdy.

Drugi, szczupły, lekką siwizną przyprószony mężczyzna czyścił nerwowo chusteczką swój złoty cwikier.

— Jestem bezradny, panie doktorze — rzekł głosem zdradzającym niepokój — sprawa zakrawa na wymuszenie. W każdym razie lepiej będzie pozbyć się natręta, składając żądane pieniądze w podanem miejscu. Mam przekonanie, że morderca młodego Steinerta jest rafinowany pod każdym względem i że groźbę swą wykona.

— Wszystko uczyniłbym raczej, tylko nie to właśnie. Skoro bowiem zauważy łajdak, że pan się boi, to nie pozbędzie się go pan nigdy. Będzie uważał pana za dojną krowę, z której trzeba ciągnąć, dopóki się da.

Detektyw nadsłuchiwał ciekawie, zawiązując sobie dla pozoru sznurówkę od buta. Usłyszawszy słowo, „morderca młodego Steinerta“, podskoczył jak na sprężynach. Przybliżył się do obu panów i uchyliwszy kapelusza, zapytał bardzo grzecznie:

— Przepraszam, że choć nieznajomy, mieszam się w pańskie sprawy. Pozwolą panowie, że się przedstawię: jestem Szerlok Holmes z Londynu. Przypadkowo słyszałem rozmowę panów i ta mnie zaciekawiła. Mój zawód detektywa wprowadził mnie na ślad mordercy młodego Steinerta, którego chciałbym ująć.

Obaj panowie nie mogli powstrzymać się od oznak zdziwienia. Starszy, szczuplejszy przedstawił się Holmesowi, jako właściciel dziennika, a wskazując na obok stojącego towarzysza, powiedział:

— Mój naczelny redaktor, dr Alm.

Niebo nam pana przysłało, panie Holmes — dodał następnie. — Przytrafiła mi się rzecz, którą uważam wprost za niebywałą. Ale chodźmy, panowie do mojego biura — rzekł przerywając.

Weszli zajęci rozmową do elegancko umeblowanego pokoju, który służył wydawcy jako biuro do przyjmowania stron.

Właściciel dziennika wyjął drżącemi rękami ze swego portfelu list, prawdopodobnie kilka razy już czytany, bo był całkiem zmięty. Rozwinąwszy go, podał detektywowi do czytania.

Sam wyczerpany opadł na krzesło. Redaktor tymczasem obserwował czytającego Holmesa.

List brzmiał:

Wielmożny Panie!

Ponieważ mam zamiar wydać nadzwyczaj senzacyjne dzieło, zwracam się przeto do pana, jako właściciela najpoczytniejszego dziennika z następującą ofertą.

Radziłbym ją panu przyjąć, gdyż po pierwsze

będziesz pan miał zysk (jako dobrego kupca, powinno to pana zachęcić) pozatem odrzucenie mogłoby mieć dla pana jak i pańskiej rodziny nader ujemne skutki.

Pomyśli pan sobie prawdopodobnie, że to jest wymuszenie? Niekoniecznie.

Żądam wprawdzie pieniędzy, ale nie chcę, abyś mi je pan darował. W zamian za to daję panu manuskrypt dzieła znakomitego co do treści i aktualnego.

Książka ta zrobi ogólne wrażenie.

Każde miasto, gmina, władza, zarówno psycholodzy jak i politycy socyalni, będą ją z ochotą czytali, gdyż jest to dzieło o wybitnie cennej treści. Jeżeli pan zgodzi się na moje warunki, przyniesie to korzyść i panu i społeczeżstwu.

Dzieło powyższe opisuje wszystkie przez autora popełnione zbrodnie, ostatnia dokonaną była przed paru dniami na synie radcy Steinerta.

Fotografia moja rozlepiona po mieście jest wierną moją podobizną.

Proponuję panu wydanie mej książki, a ja tytułem autorskiego honoraryum żądam zaliczki 3000 marek, po wydrukowaniu drugie 3000.

Jeśli pan będzie rozsądnym człowiekiem, to pośle pan żądaną drobną kwotę pod niżej wskazanym adresem:

Trafika O. Manna, ulica Pawła 33 — Hasło:

Kto nie ryzykuje, nic nie ma.

O swojem postanowieniu da mi pan znać inseratem w swej gazecie.

Wrazie gdybyś pan oddał list policyi, byłbyś mordercą zarówno swojej rodziny, jak i samego siebie. Dusiciel Zachodu.

Detektyw złożył starannie list i dłuższy czas siedział w milczeniu.

– Cóż? — zapytał redaktor, gładząc nerwowo swą brodę — nie jest to zuchwała bestya?

— W każdym razie list ten jest bezczelnością, graniczącą z obłędem — rzekł spokojnie Holmes.

— Co mam robić? — spytał zmartwiony wydawca Holmesa, a oczy jego wyrażały niemą rozpacz.

— Dam panu następującą radę! — odparł Holmes po krótkim namyśle. — Złoży pan na wskazanem miejscu list, naturalnie niby z pieniądzmi, a równocześnie uwiadomi go pan inseratem o przesłaniu kwoty. Ja zajmę się przychwyceniem ptaszka w odpowiednim czasie. To będzie najlepszy sposób.

— Który prawdopodobnie nie uda się wobec tak kutego łajdaka — przerwał Holmesowi nakładca. — Z listu przebija inteligencya, idąca w porze z przebiegłością. Łatwo nie da się ująć tak szczwany lis. Domyśli się zaraz, że to łapka na niego i postąpi odpowiednio do tego, jak zagroził.

— Szanowny pan jest sceptykiem — uśmiechnął się Szerlok — ja także liczę się z tem, że on bardzo będzie nam ufał, ale cóż nam to zaszkodzi próbować? A może podstęp się uda? Jeśli nie, znajdziemy inny sposób na ujęcie zbrodniarza.

Nakładca wstał i zaczął przechadzać się nerwowo po pokoju.

— Postanowiłem posłać mu żądaną sumę, byle mieć z nim spokój. Pozbędę się go raz na zawsze!

— Spokój? Pan osiągnie coś wręcz przeciwnego — odpowiedział Holmes ze stanowczością.

— Moje zdanie jest to samo!— dodał redaktor.

— Cóż mam więc zrobić? – spytał roztargniony wydawca.

— Postąpić tak, jak mówię — odezwał się Holmes. — Wyświadczy pan usługę policyi, umożliwiając jej schwytanie mordercy, a zasłuży się pan społeczeństwu, że zamiast posyłać pieniądze zbrodniarzowi, przeznaczy pan kwotę na jakiś humanitarny cel. Przez unieszkodliwienie przestępcy uchroni pan może wielu ludzi przed losem, jaki spotkał młodego Steinerta.

Szerlok mówił przekonywująco. Oczy jego świadczyły o przejęciu się słowami. Nakładca, ujęty przemówieniem, dał się przekonać.

Ostatni wywód Holmesa zwyciężył wszelkie jego szkopuły.

— Niech i tak będzie! Zrobię to, co pan mówi, panie Holmes, pozostawiając prywatne względy na boku — rzekł nakładca, wyciągając rękę do detektywa, którą ten serdecznie uścisnął.

Po krótkiej naradzie, ustalili tekst ogłoszenia, poczem pożegnali się trzej panowie i rozeszli się.

Szerlok Holmes miał jednak pewność: morderca był w mieście, może nawet o kilka tylko ulic oddalony od niego.

Teraz dopiero rozpocznie się gorączkowe polowanie za zbrodniarzem.

ROZDZIAŁ IX.

Nagonka na mordercę.

Następnego dnia był umieszczony w dzienniku inserat następującej treści:

Dus. Zach.

Gotów jestem, przysłać panu wiadomą rzecz, z zastrzeżeniem, że pozostawi mnie pan raz na zawsze w spokoju.

Inserat był krótki, mało zwracający uwagi, a słowa ogłoszenia dobrano w ten sposób, aby uśpić czujność zbrodniarza.

Szerlok Holmes przygotował wszystko, aby mordercę przytrzymać w chwili, gdy zgłosi się po list w trafice O. Manna przy ulicy Pawła. Aby nie nasunąć przestępcy żadnych podejrzeń, urządził detektyw małą maskaradę. Sam przyprawił sobie rudą bródkę i spacerował koło budki, udając ulicznego Don Juana, któremu podoba się każda kobieta. Harry przebrany był za roznosiciela gazet, stał pod budką i donośnym głosem zachęcał przechodniów do kupna dzienników. Wreszcie dwaj agenci policyjni, stali przy poblizkim narożniku, jako posługacze publiczni, w typowych czerwonych czapkach.

Ale zbrodniarz wykazał jeszcze raz swój spryt i przebiegłość. Musiał poznać pułapkę, na siebie nastawioną, bo upływała jedna godzina i druga, a on się nie zjawiał.

Po kilkugodzinnem bezskutecznem czekaniu, detektyw uznał, że dalsze czuwanie nie miałoby celu, bo sprawca musiał poznać pismo nosem.

Przewidywania Holmesa sprawdziły się.

Gdy następnego dnia przybył detektyw do wydawcy, aby go zawiadomić o ujemnym wysiłku nagonki uprzedniego dnia na zbrodniarza, nakładca podał mu list, zaadresowany:

„Do wysokiego szpiega.“

Szerlok Holmes rozerwał kopertę i czytał:

„Jeśli chcesz mnie złowić, musisz użyć lepszego przebrania dla siebie i twoich pomocników. Przedewszystkiem użyj lepszej fałszywej brody. Ale przyjmij raczej jedną odemnie radę:

O ile ci życie miłe, przestań mnie śledzić.“

Krew uderzyła Holmesowi do głowy. Zmiął list i schował do kieszeni.

— Mnie też przesłał zachwycający liścik — rzekł wydawca. — Zagroził mi, że jeśli dziś o siódmej wieczór nie prześlę mu do cukierni Kreutzera pieniędzy pod adresem „Wieczna miłość“, wysadzi mój dom w powietrze.

— Bądź pan spokojny. – powiedział detektyw — Drugi raz już nam się ptaszek nie wymknie. Moja w tem głowa. Idę zaraz poczynić na wieczór odpowiednie przygotowania.

* * *

Po obiedzie Holmes przyniósł od Elżbiety jej najlepszy kostyum i polecił się w niego przebrać Harremu. Biedny chłopak napocił się dosyć, zanim zdołał wdziać na siebie damską garderobę, sznurówkę i drobne trzewiczki. Holmes osobiście udzielał mu instrukcyi i pomagał we wszystkiem.

Harry miał na wieczór w kawiarni Kreutzera, za wiedzą oczywiście właściciela, objąć w damskiem przebraniu rolę bufetowej. Chodziło o to, aby po list złożony w kawiarni pod adresem „Wieczna miłość“, zgłosił się zbrodniarz do Harrego, który miał natychmiast dać odpowiedni znak Holmesowi, znajdującemu się w lokalu kawiarnianym.

Wieczorem Holmes udał się z wydawcą i redaktorem do kawiarni Kreutzera. Był w siwej peruce i bokobrodach oraz dużych, złotych okularach.

Harry, jako bufetowa panna, stał za ladą bufetu i porządkował szklanki.

Holmes, choć zajęty niby grą, obserwował pilnie zebranych w kawiarni gości. Uwagę jego zwróciła samotnie siedząca kobieta, brunetka, otoczona stosem dzienników i illustracyi. Przez okulary nie wiele prowdopodobnie widziała, bo zawsze patrzyła się ponad szkła. Detektywowi całe jej zachowanie i wygląd, wydały się podejrzane. I ręce zbyt duże i grube i twarz nieumiejętnie naszminkowana, a przedewszystkiem plaster na czole, niedokładnie zakryty lokami fryzury.

Szerlok Holmes podszedł do bufetu i po cichu szepnął Harremu, aby pilnie obserwował ową damę i starał się ją przytrzymać w odpowiedniej chwili,

Podejrzana dama zbliżyła się do bufetu, prosząc o nici i igłę oraz wskazanie ubikacyi, gdzieby mogła zeszyć rozerwaną falbanę od spódnicy. Równocześnie, jakby od niechcenia, spytała się dama, czy niema do niej listu, pod hasłem „Wieczna miłość“.

Harry podał list, nici i igłę i zaprowadził panią do bocznego pokoiku.

Zaledwie tam weszli, Harry chwycił ją w ramiona i świsnął silnie, dając umówiony znak Hol-

mesowi i jego towarzyszom. Ale dama silnym ruchem wyrwała się z rąk Harrego i uderzyła go tak potężnie, że runął nieprzytomny na ziemię. Dama podczas tego wymknęła się bocznem wyjściem na ulicę.

Gdy trzej mężczyźni wbiegli do pokoju, zobaczyli omdlałego Harrego na podłodze, z damy podejrzanej nie było ani śladu. Nie troszcząc się chwilowo o bezprzytomnego, wybiegli na ulicę i spostrzegli damę wsiadającą do automobilu. Zanim znaleźli drugi samochód, automobil, którym uciekała dama, był już daleko i znikł między dziesiątkiem ulic i przecznic. Holmes zrozumiał bezcelowość dalszego pościgu i polecił szoferowi zawrócić do kawiarni, aby zająć się Harrym.

Zbrodniarz tymczasem kazał szoferowi najętego samochodu zawieźć się pod kamienicę, gdzie mieszkała Elżbieta, którą groźbą zabicia zmusił do udzielenia przytułku w jej mieszkaniu. Dziewczyna tak była przestraszona zjawieniem sią „grubowargiego“ Henryka, że pozwoliła przespać mu się na jej własnem łóżku. W przerażeniu nie przyszło jej nawet na myśl, żeby podczas snu Henryka, wybiedz po cichu na ulicę i zawezwać policyi.

Henryk wczesnym rankiem zbudził się, rewolwerem zmusił Elżbietę do podania sobie adresu Holmesa, poczem bez słowa pożegnania, opuścił jej mieszkanie. Holmes zdziwił się niemało, kiedy zbudziwszy się rano, zastał na stole podany przez kelnera bilet, przyniesiony przez jakąś panią.

Na bilecie były następujące słowa, skreślone niewprawną ręką:

„Przyjdź pan dziś wieczorem o siódmej pod tartak Fingerkruga. Mam panu udzielić ważnych wiadomości, w znanej sprawie, tyczącej się „Grubowargiego“.

Detektyw postanowił udać się na miejsce a oddając Harremu otrzymany bilet, polecił pozostać w hotelu i czekać na jego powrót.

ROZDZIAŁ X.

Między życiem a śmiercią.

Punktualnie o naznaczonej godzinie był Holmes przy tartaku. Dokoła nie było widać żadnego żywego człowieka, okolica wydawała się wymarłą.

Ściemniało się coraz silniej. Na wieży kościelnej wybijał zegar uroczyście siódmą godzinę.

Holmes patrzył na szosę, czy kto nie nadchodzi. Za nim w krzakach coś zaszeleściało.

Obrócił się, jednak niczego podejrzanego nie zauważył.

— Pewnie jakiś wałęsający się pies — pomyślał i popatrzył na zegarek.

Zły, schował go do kieszeni.

Czy wystrychnięto go na dudka? A może zbrodniarz zastawił na niego łapkę i czeka na sposobną chwilę, aby go ubezwładnić? Szerlok zaśmiał się z tych przelotnych obaw.

— Jestem zabezpieczony — rzekł pod nosem, wyciągając rewolwer i próbując cyngla.

Nie widział, jak z tyłu para przenikających ócz śledziła z za krzaków każde jego poruszenie. Nie zauważył, że jakaś postać wypełzała z krzaków i czołgała się ku niemu na czworakach. Zajęty kontrolowaniem rewolweru, stał zamyślony.

Nagle pochwycił go ktoś za łokcie i szarpnął do tyłu. Detektyw przewrócił się na ziemię, a zanim zoryentował się w sytuacyi, wynurzyła się z zarośli druga postać i zaczęła go dusić pod gardło tak silnie, że nie mógł wydać ze siebie ani krzyku. Rozpaczliwie się bronił, ale nie mógł podołać dwu silnym napastnikom. Jeden z nich trzymał go silnie pod szyję, drugi tymczasem wiązał ręce na plecach i skrępował nogi, a następnie włożył do ust knebel.

Złoczyńcy podnieśli związanego i uprowadzili. Detektywowi zdawało się, że zbrodniarze niosą go ku tartakowi, gdyż do uszu jego dochodził turkot maszyny i zgrzyt pił.

— Tam przecież będą ludzie — myślał — którzy mu przyjdą z pomocą.

Nie pomylił się. Niedaleko tartaku złożyli go zbóje do suchego rowu, pod ogrodzeniem, otaczającym zakład fabryczny.

— Zaczekaj Henryku — przemówił jeden — przypatrzę się, czy nie ma tam nikogo, ty zaś nie opuszczaj angielskiego wujaszka.

Za dziesięć może minut powrócił.

— Prędko — zawołał do swego kompana — założono teraz świeży pień, więc mamy bardzo dobrą sposobność.

Obaj podnieśli związanego detektywa i przenieśli przez płot do tartaku.

Hala, gdzie leżały pocięte pnie, przeznaczone do rżnięcia, była ze wszystkich stron otwartą. Personal obsługujący maszynę, znajdował się z tyłu za halą z maszynami.

Zgrzyt pił i trzeszczenie pni tłumiły każdy szmer.

Szerlok łamał sobie głowę, dlaczego tu go przynieśli złoczyńcy.

Wkrótce miał znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Zbóje zatrzymali się przed potężnym pniem, obrobionym dopiero z grubsza, który posuwał się co sekundę pod piły.

Straszne przeczucie przyszło mu do głowy. Czyżby złoczyńcy byli takimi nędznikami, że potrafiliby go poddać tak strasznej męce i śmierci

W tej chwili złoczyńcy podnieśli go w górę i ułożyli na jakimś pniu.

Trwało kilka zaledwie minut a Szerlok Holmes był już powrozami przywiązany do pnia drzewa. (Patrz rycina tytułowa.)

Był przymocowany do dolnego końca pnia, który zwolna i miarowo przybliżał się pod ostrza pił. Chociaż Holmes zaglądał już wielokrotnie śmierci w oczy, to jednak to, co mu teraz groziło, odbierało detektywowi przytomność z przerażenia.

O ile nie nadejdzie niespodziewana jakaś pomoc, to w dziesięciu minutach pokrają go piły wraz z pniem na kawałki.

Na wspomnienie o czekających go okropnych męczarniach, wytężył wszystkie swoje siły, aby zesunąć się z pnia; wysiłki jego były jednak daremne.

Henryk „grubowargi“ przywiązał go do pnia tak silnie, że Holmes nie mógł się nawet poruszyć.

— Tak wielki detektywie — rzekł na pożegnanie szyderczo Henryk — ostatnia to już twoja przygoda. Szczęśliwej podróży, panie Holmesie.

Obaj zbrodniarze zniknęli w ciemnościach nocy.

Jeszcze raz usiłował związany zerwać swe więzy, ale nie popuściły nawet na cala. Holmesowi nie pozostawało nic innego, jak z rezygnacyą oczekiwać śmierci.

Wtem rozległo się przeciągłe wycie psa; brzęk łańcucha dowodził, że spuszczano go z łańcucha na noc, aby pilnował domostwa.

— Czego ten pies jest niespokojny? — usłyszał Holmes jakiś głos męski — czyżby kto znajdował się w młynie? Szukaj Hektor, szukaj.

— Ach, żeby pies skierował swe kroki tu do pnia — myślał detektyw.

Niestety pies po niedługiem szukaniu powrócił do domu, także i głos mężczyzny umilkł. Drzwi zamknęły się. Wokoło nastała cisza......

Harry Takson oczekując na powrót mistrza, chodził nerwowo po swoim pokoju. Na gzymsie kominka stał zegar. Harry porównywał ustawicznie godzinę na nim ze swoim zegarkiem.

Upływały kwadranse za kwadransem, a mistrz nie powracał.

Wkońcu nie wytrzymał dłużej.

Pobiegł do pokoju sypialnego i ubrał się. Jeszcze raz przebiegł oczyma małą karteczkę, którą mu zostawił mistrz na odchodnem i wybiegł z hotelu.

Na ulicy stanął bezradny, nie wiedząc w którą stronę się zwrócić. Mało znał Berlin i nie wiedział, w której stronie leżał opisany tartak.

Zwrócił się z zapytaniem do policyanta, który mu opisał dokładnie drogę. Wkrótce zdążał Harry koleją podmiejską we wskazanym kierunku. Kierując się wrodzonym darem oryentacyjnym, znalazł prędko tartak, natomiast z Holmesa nie było nigdzie ani śladu. Serce biło mu gwałtownie. A może Holmesa spotkało nieszczęście?

Podniecony chodził naookoło młyna i spoglądał poza ogrodzenie, przyświecając sobie ręczną latarką.

Nagle stanął jak wryty. Zdawało się, że krew przestała mu krążyć w żyłach. Latarka zadrżała mu w rękach i wydał ze siebie straszny okrzyk przerażenia.

Psy zaczęły wyć. W młynie ożywiło się. Na parterze zaświecono światło. Słyszał jak otwierano i zamykano drzwi.

— Na pomoc, na pomoc! — krzyczał Harry, chcąc przedostać się przez ogrodzenie.

Na podwórzu zjawił się właściciel tartaku, głośno przeklinając tego, który przerywa mu nocny wypoczynek. W szlafmycy na głowie, w koszuli tylko i spodniach, trzymał w ręku latarnię.

— Co się stało? — krzyknął donośnym głosem gospodarz — kto woła o pomoc?

— Tu, ludzie! Ratunku! — wrzeszczał bezprzytomnie Harry.

— Co się stało? — spytał ponownie właściciel tartaku.

— Na miły Bóg — krzyczał Harry — mężczyzna na bloku! Zamknąć parę! Zatrzymać maszynę — wołał do maszynisty, ale głos jego gubił się w turkocie maszyn.

Wtedy przyszła mu myśl zbawcza. Błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni, na szczęście miał scyzoryk i w okamgnieniu przeciął więzy.

Ciało mistrza osunęło się bezwładnie na ziemię.

Szerlok Holmes leżał w objęciach ukochanego ucznia. Podniesiona w górę latarnia właściciela tartaku oświecała jego blade oblicze, w którem oczy głęboko zapadłe w dół, świadczyły o przebytych strasznych chwilach.

Z dyszącą jeszcze z trwogi piersią, z śmiertelnym potem na czole, pochylił się Harry nad swoim mistrzem, którego co dopiero wyrwał z objęć śmierci.

— Mistrzu! — zawołał drżącym głosem. — Ocknij się! Przypatrz się jeszcze raz na mnie!

— To nic nie pomoże — odezwał się gospodarz, który dotychczas nie zdawał sobie sprawy, czy to, co się działo w jego oczach było snem, czy rzeczywistością — musimy go zanieść do domu. Nieprędko przyjdzie do siebie!

Wziął ucho latarni do zębów, aby mieć wolne ręce. Harry ujął Holmesa pod ręce tak, że głowa mistrza znajdowała się na piersiach ucznia, zaś właściciel tartaku ujął go za nogi i we dwójkę zanieśli do mieszkania.

Tu oczekiwała na nich gospodyni w kwiecistym szlafroku, trzymająca w ręku stojącą lampę.

Oblicze jej wskazywało, że nie wie jeszcze, co zaszło?

— Kogo przynosisz? Co się stało? — spytała, zwracając światło na niesionego, bezwładnego Holmesa.

— Później ci powiem, Marciu! To nie nieboszczyk, tylko chory, omdlały — uspokajał żonę. — Postaw lampę na stole, a ułóż kilka poduszek na sofie.

Mechanicznie spełniła kobieta polecenie, patrząc wciąż na omdlałego.

— Może zrobić herbaty? — zapytała dobrotliwie.

— Zrób moja poczciwa, tylko prędko — rzekł właściciel tartaku do żony, układając wraz z Harrym Holmesa na sofie.

Niedługo potem oświetlała lampa schludny pokoik młynarza.

Na stole gotowała się herbata, leżał bochen chleba i gorące kiełbaski. Gospodarze namawiali Harrego, aby co przekąsił — nie można go było jednak skłonić do tego. Zajęty był jedynie Holmesem, który początkowo nie dawał znaku życia.

Po dobrej chwili poruszył dopiero głową i otworzył oczy. Ździwiony rozglądał się po pokoju, aż wkońcu utkwił wzrok w Harrym.

— Bogu dzięki, mistrzu! — zawołał uradowany Takson — myślałem, że już nie przebudzisz się więcej.

— W jaki sposób znalazłem się tutaj? Co to znaczy? — zapytał zmieszany detektyw, wkrótce jednak przypomniał sobie całe przejście. Zatrząsł się tylko jak w febrze, na wspomnienie tych strasznych chwil.

— W jaki sposób mnie uratowano? — zapytał — i kto?

Nie dokończył, gdyż wzrok Harrego dopowiedział mu wszystko.

— Dziękuję ci, ty najwierniejszy mój towarzyszu! — szepnął wzruszony.

Uścisnęli sobie w milczeniu dłonie

ROZDZIAŁ XI.

Lis w łapce.

Była to noc pełna wrażeń. Resztę jej przespał Holmes w swoim hotelu.

Skoro się bowiem pożegnał z właścicielami tartaku, udał się wózkiem do domu.

Trochę zmieniony i blady zjawił się rano dnia następnego w sali hotelowej na śniadanie, kiedy oznajmił mu kelner, że jakaś pani chce się z nim koniecznie widzieć.

Polecił kelnerowi przyprowadzić ową damę do siebie.

Ze ździwieniem poznał w niej Elżbietę.

— Przyszłam, aby pana przestrzedz, panie Holmes — rzekła — Henryk wie pana adres...

— Ładnie mnie pani urządziła — przerwał jej Holmes, przenikająco utkwiwszy w nią swój wzrok.

— O ile? — spytała patrząc śmiało w oczy Holmesowi.

— Napisałaś do mnie wczoraj list...

— Ja? — rzekła ździwiona — ani mi na myśl nie przyszło!

Poszukał w swojem portfelu i podał jej bilet.

— Proszę czytać! — rozkazał obserwując ją.

Ale oblicze jej nie zdradzało żadnego zmieszania.

— On pisał list! — odparła — to jest pismo Henryka! I pan był przy tartaku? — spytała nie oddychając prawie z przerażenia.

Detektyw potwierdził.

— O mało życiem nie przypłaciłem tego wła-

śnie — rzekł — lecz mówmy o czem innem. Dobrze się składa, że pani przyszła. Przedtem proszę mi powiedzieć, co panią zmusiło, że powiedziałaś Henrykowi mój adres.

Opowiedziała mu wszystko, niczego nie ukrywając. Przyznała się, że trwoga o życie zmusiła ją do tego.

Holmes słuchał z przejęciem.

Kiedy przestała opowiadać, nastąpiła chwilowa cisza. Szerlok Holmes prosił ją, aby usiadła obok niego. Blada i niepewna spełniła jego życzenie.

— Biedne dziecko — przemówił detektyw. Los strasznie igra z tobą. Odpocznij sobie po tylu przejściach. Powróć do domu, do rodziny!

— Nie mam już ani rodziny, ani rodziców! — odpowiedziała smutnie.

— Cóż chcesz dalej robić? Nie możesz przecie marnować życia, jako szwaczka domowa? Nie masz pewnie nawet zamiłowania do takiego zawodu? Z tego jednakże nie można wyżyć, gdyż magazyny płacą mało.

— Wpadła mi dobra myśl, panno Elżbieto! — rzekł zadowolony Holmes — możemy złapać dwa ptaki od razu. Posłuchaj mnie! W interesie całej ludzkości powinniśmy się starać oczyścić społeczeństwo z niebezpiecznych żywiołów. Do takich należy morderca Steinerta, którego chcę aresztować. Pani powinna mi w tem pomódz. Leży to poniekąd w jej interesie.

— Ale w jaki sposób? — przerwała mu.

— O ile uda się nam pochwycić zbrodniarza, będzie mojem usilnem staraniem, żeby pani otrzymała nagrodę wyznaczoną na głowę mordercy. Jest to premia w wysokości 5000 marek. Za te pieniądze założy sobie pani małą pracownię ręcznych robót i pozyska w ręce znośny zarobek i utrzymanie.

Twarz jej zabłysła radością, jednak zaraz posmutniała.

— Na tem nie mogę opierać i budować mego szczęścia — odparła.

— Nie bądź pani tak bardzo uczuciową – powiedział na to Holmes. — Pieniądze te może pani wziąć spokojnie. Każdy człowiek powinien się starać, aby świat uwolnić od takiego potwora...

— Jak mam to uczynić przy moich słabych siłach? — spytała drżąco.

— Niech pani to zrobi, co powiem! — przerwał jej detektyw. – Podyktuje pani list do Henryka, w którym go pani poprosi, aby przyszedł do pani w oznaczonym dniu. Otrzymała pani spadek po krewnych i chce mu pani pomódz, w ucieczce z Berlina. Ma pani bowiem zamiar, kochając go jeszcze, rozpocząć z nim nowe życie na drugiej półkuli świata, za Oceanem...

Nie jest to szlachetny środek, to prawda, ale w rozpaczy należy się wszystkiego chwytać. W tym wypadku cel rzeczywiście uświęca środki.

Zbrodniarz łakomy na pieniądze zapomni o ostrożności, a my go uwięzimy. Mam nadzieję, że wszystpójdzie dobrze.

Po namyśle zgodziła się. Kelner przyniósł papier i atrament, a Elżbieta napisała wszystko, co jej podyktował Holmes. List zalepiono i zaadresowano do szynku, w którym Henryk stale przebywał.

— Otrzyma go niezawodnie — rzekł Holmes — gospodarz bowiem jest z nim w porozumieniu....

— — — — — — — — — — —

Holmes nie pomylił się. Szubrawiec mimo całej swej przebiegłości wpadł w zastawioną łapkę i pojawił się w oznaczonym dniu u Elżbiety.

— Gdzie są pieniądze? — rzekł szorstko po przywitaniu. Nie dokończył, bo w tej chwili otworzyły się drzwi ze sypialni dziewczyny i czterech mężczyzn rzuciło się na Henryka. Niedługo trwało, a leżał skrepowany na ziemi. Telefonicznie zawołano zieloną karetkę, służącą do przewożenia aresztowanych i w niej umieszczono głośno przeklinającego zbrodniarza. Skazany został na śmierć...

— — — — — — — — — — —

Elżbieta posiada na małej ulicy w Rixdorfie skromną pracownię hafciarską. Na wystawie znajdują się ładne koronki i stawki, podbródki dla dzieci, gustownie ozdobione obrusy, szelki, poduszki, pantofle i rozmaite tego rodzaju przedmioty.

Najładniejsze pantofle otrzymał Holmes, w którym właścicielka sklepu widziała swego zbawcę i dobrodzieja. Były aksamitne. Na błękitnem tle było wyszyte srebrnemi perełkami, jedno wymowne słowo: „Z wdzięczności".

KONIEC.

ROZMAITOŚCI.

Pies droższy od złota.

Pewna Amerykanka kupiła niedawno nadzwyczaj małego pieska, który ważył 588 gramów, a nazywał się bardzo oryginalnie „Atom“.

Właśnie z powodu tej niezwykłej malizny, był psiuczek bardzo drogi. Kosztował mianowicie 5000 koron. Ponieważ 588 gramów czystego złota przedstawia wartość 2000 koron, maluteńka psina okazała się około półtrzecia razy droższą, niż gdyby była ze szczerego złota.

Bakterye podtrzymujące życie.

Ciekawe doświadczenia robili w różnych czasach uczeni nad bakteryami i ich wpływem na żyjące organizmy. Przekonano się, że prócz bakteryi zabójczych, egzystują również bakterye podtrzymujące życie ludzi i zwierząt, a bez tych dobroczynnych drobnoustrojów nastąpiłoby wycieńczenie, wyniszczenie i śmierć.

I tak doświadczenia wykazały, że kury nie mogłyby żyć bez bakteryi. Kilka jaj oczyszczono starannie z mikrobów i wstawiono do sztucznego aparatu wylęgania. Podczas prosesu wylęgania wysterelizowano dokładnie powietrze otaczające jaja. Gdy kurczątka się wylęgły, wdechiwały tylko oczyszczone powietrze i karmiły się sterylizowaną strawą. Badanie wykazało, że maleńkie ich organizmy są zupełnie wolne od drobnoustrojów. Większa część ich wyzdychała, te które przy życiu pozostały — przeniesione zostały do przestrzeni napełnionej zwyczajnem powietrzem i otrzymywały zwykłe pożywienie. W krótkim czasie przyszły one zupełnie do siebie i rozwinęły się w zdrowe i silne ptaki. Te same doświadczenia z tym samym rezultatem przeprowadzono z muchami.

Inne doświadczenia wykazały, że gąsienice i skorpiony mogą się obyć bez bakteryi. Sławny bakteryolog Dr. Miecznikow stwierdził, że organizm ludzki zawiera mnóstwo bakteryi, które utrzymują go przy życiu.

---

3) FELJETON.

Dyabelski tuzin.

Ze wspomnień angielskiego detektywa.

Zaledwie zapłacił tylko czynsz, kazał wymalować sobie ogromny szyld z napisem „Wistanley et Co. agencya handlowa“ i przybił go nad lokalem. Oczywiście nazwisko firmy znalazło się zaraz w księdze adresowej, choć żaden ze sąsiadów nie wiedział nawet, jakimi interesami trudni się Wistanley et Co. i czy wogóle trudni się czemkolwiek.

W firmie zajętych było trzech młodych ludzi.

Starałem się wyszukać kilku odbiorców lub korespondentów firmy Wistanley, ale bezskutecznie. Do właścicieli firmy Wistanley'a & Comp. nie mogłem się zwrócić z tej prostej przyczyny, że ci bezsprzecznie interesujący panowie, podobnie jak i ich trzech buchalterów, znikli bez śladu.

Ponieważ czynsz był opłacony aż do końca roku, według przepisów angielskich, nikt nie miał prawa wejść przed terminem do opuszczonego lokalu lub zdjąć szyld.

Ta okoliczność zwróciła moje pierwsze podejrzenia przeciw agencyi Wistanleya i Spółki. Dlaczegóż jednak oni posługiwali się nazwiskiem Gregsona & Co? A dalej: skąd wiedzieli, że Gregson & Co. byli w stosunkach finansowych z bankiem Union? Na to można było znaleźć tylko jedną odpowiedź, mianowicie, że ktoś, który znał dobrze wewnęttzne stosunki agencyi Gregsona & Co. udzielił informacyi właścicielowi firmy Wistanley & Co.

A teraz co do towarów! Sprawdziłem, że były one sprowadzane i składane w piwnicach należących do Wistanleya. Ta przedsiębiorcza firma sprawiła sobie konia i wóz ciężarowy, a za woźnicę przyjęła niejakiego Alfreda Gambla, który z różnych dworców zwoził skrzynie i bale. Wyszukałem tego człowieka.

Był to starzec w wieku 65 lat, nie odznaczający się zbytnią roztropnością, a że w jego młodości prawo o przymusie szkolnym nie było jesz-

Ciekawa kroniczka.

Odzież więźniów hawajskich zeszyta jest z dwukolorowego sukna, lewa część garderoby ma barwę niebieską, prawa brunatną.

Brazylia, która posiada olbrzymie lasy dziewicze z najwspanialszymi gatunkami drzew, musi deski jodłowe sprowadzać z Europy.

Jedna ryba, z gatunku Dorsz, składa jajeczek ikrowych przeszło 9 milionów.

Chińczycy sporządzali poprzednio rury strzelb z trzciny bambusowej, która była wzmacniana żelaznemi obręczami.

W roku 1740 magnat Franciszek Lazar jechał na sejm do Hermannstadtu powozem, zaprzężonym w czwórkę bizonów.

Od roku 1859 jest w armii austryackiej zakazany okrzyk „hurra“ — wykrzyknik specyalnie przez cesarza Wilhelma ulubiony.

Ilość wozów jest w Honolulu w stosunku do zaludnienia — trzy razy tak wielka jak w Europie.

„Savoir vivre“ arabski, zawiera nie mniej jak 124 przepisów, jak się należy przy jedzeniu zachowywać.

ALLOTRIA.

Na godzinie zoologii.

Nauczyciel: Ukończyliśmy zatem klasę zwierząt ssących. Zanim postąpimy w przedmiocie dalej, zadam kilka pytań, dla powtórzenia materyału.

Śliwa, powiedzno mi, jakie znasz zwierzę ssące bezzębne.

Śliwa (który nie uważał, zajęty był bowiem czytaniem Szerloka Holmesa pod ławką): Bezzębne... moja babka, proszę pana psora...

cze obowiązujące, otrzymał nader skromne wykształcenie, ograniczające się do tego, że z trudem i biedą potrafił nagryzmolić swój podpis.

Zapewne nie bez celu dobrali sobie szefowie tak ograniczonego i nierozgarniętego człowieka za woźnicę, bo wiedzieli, że nie będzie on interesował się niczem, a przedewszystkiem tem, dlaczego towary adresowane do Piotra Gregsona & Co., są przewożone do składów Wistanleya & Comp.

Alfred Gambel znalazł w swych szefach nader dobrych chlebodawców. Nietylko płacili mu piękną pensyę dwóch funtów szterlingów tygodniowo, ale dostawał zawsze jeszcze napiwek w wysokości kilku szylingów. Szczodrobliwość szefów pobudzała Gambla do podziwu, tak, że na ustach miał zawsze tylko słowa uznania i pochwały dla służbodawców.

W mojej rozmowie z Alfredem Gamblem zauważyłem, że wspominał szczęśliwe czasy swej służby u firmy Wistanleya, z prawdziwym żalem, że tak prędko skończyły się i że może już nigdy nie wrócą. Poza pochwałami dla swych dawnych pryncypałów nie umiał nic powiedzieć. Zasłaniał się tępą pamięcią. Zdołałem zaledwie tyle z niego wydobyć, że towary z magazynów kolejowych były składane w piwnicach przy Fountain Street.

Z kolei musiałem zbadać: co się działo z towarami, po ich sprowadzeniu do składów Wistanleya & Co. Po mozolnych dochodzeniach udało mi się stwierdzić, że na ręcznych wózkach były towary przewożone na dworce towarowe i z małymi wyjątkami nadawane pod adresem:

Pan Eugeniusz Blouet
Paryż
Dworzec kolei północnej.

Sprawa zaczęła się zatem wikłać, trudno mi bowiem było iść śladami, aż do Paryża, gdzie trop w obrębie kilkumilionowego, mniej mi znanego miasta stołecznego Francyi, mógł z łatwością zaginąć.

Któż to był za pan Eugeniusz Blouet? Mogłoby to być zmyślone nazwisko.

(C. d. n.).

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera, Kraków